№ 29 Warszawa, dnia 5 (17) Lipca roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

ANNA DE KERVILER.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE

przez

Ernesta Legouvé, Członka Akademii francuzkiej.

Przedstawiony pierwszy raz w Teatrze Francuzkim 1 listopada 1879 r.

przekład J. Belejowskiej.

(dokończenie)

Scena ósma,

Ciż, Lambert.

Moréac (podchodząc ku niemu). Czy prośba moja została uwzględnioną?

Lambert. Komendant nie dał jeszcze odpowiedzi. Więc nie cofasz swego zeznania że jesteś hrabia de Kerviler?

Moréac. Nie.

Lambert. I że wczoraj wieczorem opuściłeś obóz Wandejczyków i w nocy wszedłeś do miasta?

Moréac. Tak.

Lambert. Zatem jest widać dwóch hrabiów Kerviler?

Moréac. Jakto.

Lambert. Przed chwilą żołnierze nasi przytrzymali człowieka który chciał uciekać z tego domu, i utrzymuje że toż samo nosi nazwisko.

Moréac. Co pan mówisz?...

Lambert. Łatwo dowiodę prawdy słów moich. (Idzie do drzwi w głębi, otwiera je i mówi do stojącego żołnierza). Przyprowadź więźnia!

(Żołnierz odchodzi, Kerviler wchodzi temiż drzwiami).

Anna i Moréac (spostrzegłszy go). O nieba!

Lambert (wskazując go). Oto jest więzień!... Starajcie się porozumiéć z sobą. Rozkazano mi rozstrzelać jednego... nie chcę rozstrzelać dwóch.

Kerviler (zdziwiony). Co.

Lambert (niby żartobliwie). Choć byłaby to niby najkrótsza sprawa... dwóch arystokratów za jednym zamachem, czysty zysk dla rzeczypospolitej!... Ale darmo jestem ślepo posłuszny rozkazom.

Kerviler (z niepokojem). Jakim rozkazom? Mów pan wyraźnie... nic nie rozumiem.

Lambert. Przecież to nie trudne do zrozumienia. Mamy wpakować tuzin kul w głowę obecnego tu obywatela.

Kerviler (przerażony). Co!... chcecie go...

Lambert. Rozstrzelać! Tak ni mniej ni więcej, ponieważ mówi że jest hrabią Kerviler.

Kerviler. Jakto?... Więc on powiedział...

Lambert. To samo co i ty, obywatelu.

Kerviler (z wybuchem). Ale ja przysięgam!

Lambert. I on przysięga... I obywatelka nie zaprzeczyła mu!

Kerviler (patrząc na Annę). Jakto, ona powiedziała...

Lambert (przechodzi przed Kerviler'em i zbliża się do Anny). No, mówże, obywatelko!... Powiedz wyraźnie który z nich jest hrabią Kerviler, bo ja nie dojdę do ładu z tymi twemi mężami.

Anna (z rozpaczą). Mam powiedziéć!... ależ to wydać na śmierć jednego!

Lambert (cicho z mocą). Nie, jest to jednego ocalić! Jeżli powiesz, jeden będzie rozstrzelany, jeżli będziesz milczéć zginą obydwa... Wybieraj!

Anna (przechodząc ku środkowi). Wybierać!... (do Lamberta) Nie pojmujesz pan jak strasznej rzeczy domagasz się ode mnie.

Lambert. Wiem tylko że przedstawiam jedyny środek ratunku.

Anna. Ratunku!... Ach! więc ja miałabym wypowiedziéć słowa stanowiące o wyroku śmierci... ja! ja!... Nigdy! nigdy!... nie mogę! nie mogę!

(Wybiega drzwiami na lewo, prowadzącemi do dalszych pokoi, prawie odchodząc od zmysłów).

Scena dziewiąta.

Ciż, prócz Anny.

Lambert. A! niech robi co chce!... To dopiero oryginalne egzemplarze!... Obydwa napierają się aby kulą w łeb dostać... A! wolnemu wola!... (Do Kerviler'a i Moreac'a). Macie dziesięć minut czasu do namysłu; po ich upływie przybędzie tu komendant, a on nie żartuje... Starajcie się więc porozumiéć... albo pojmujecie!... (Do jednego z żołnierzy stojących w głębi) Stań po za drzwiami! (Żołnierz wychodzi, drzwi w głębi się zamykają, Lambert przechodzi do żołnierza stojącego przy drzwiach bocznych któremi wszedł) A ty chodź za mną, otoczymy dom dokoła aby ptaszki nam nie uciekły... Jak się namyślicie obywatele, powiedźcie stojącemu na straży żołnierzowi, a ten mnie zaraz zawiadomi. Do widzenia.

(Wychodzi bocznemi drzwiami które się zamykają).

Scena dziesiąta,

Moréac, Kerviler.

Kerviler (zbliża się prędko do Moreac'a). O! mój przyjacielu! mój bracie!... takie poświęcenie!

Moréac (żywo). Więc zgadzasz się!

Kerviler. Ja miałbym zezwolić abyś za mnie śmierć poniósł!...

Moréac. Zaklinam cię!... błagam na klęczkach...

Kerviler. Nie byłbym godzien twego poświęcenia gdybym zgodził się na nie.

Moréac. Niewolno ci odmawiać.

Kerviler. Niewolno?...

Moréac. Nie dla ciebie się poświęcam ale dla naszej sprawy.

Kerviler. Dla sprawy naszej, oba równie jesteśmy potrzebni.

Moréac. Ja jestem tylko nieznanym szeregowcem.

Kerviler. Taki szeregowiec może w przeciągu jednego dnia zostać jenerałem.

Moréac. Jesteś duszą dzielnego naszego hufcu.

Kerviler. Zajmiesz moje miejsce.

Moréac. Twoje miejsce!... Możnasz zastąpić dwieście lat poszanowania, uwielbienia i wdzięczności?... Gdy ja zginę, jedna tylko ręka ubędzie w naszych szeregach, twoja śmierć zmroziłaby trzy tysiące serc, trzy tysiące głów...

Kerviler (przerywając). Mógłżebym nimi dowodzić gdybym się podobnej dopuścił nikczemności?

Moréac. Nie byłaby to nikczemność ale litość.

Kerviler. Litość?

Moréac. Tak, litość. Jestem sam jeden na świecie; nie mam rodziny ani przyjaciół, nie mam żadnych obowiązków, radości ani nadziei!... Życie i serce moje jest złamane... śmierć dobrodziejstwem byłaby dla mnie! Szukam jej i przyznam z upragnieniem... jeźli nie umrę dziś... jutro dobrowolnie na śmierć się narażę!... (poruszenie Kerviler'a. Moréac przerywa mu) Ty przeciwnie...

Kerviler (z mocą biorąc jego rękę). Nie wiesz że jestem równie nieszczęśliwy.

Moréac. Ty! ty!... który posiadłeś największe szczęście na ziemi!

Kerviler. A jeźli właśnie to szczęście stało się dla mnie źródłem rozpaczy!

Moréac. Co mówisz?

Kerviler. Ach! czyż nie pojmujesz że jest na świecie coś okropniejszego nad zupełne osamotnienie—to jest być samotnym choć nas jest dwoje.

Moréac. Ach!

Kerviler. Pojmuję zadziwienie twoje. Dwa miesiące spędziłeś w tym domu, mogłeś więc poznać i ocenić cnoty wzniosłe, przymioty duszy i urok tej co w nim zamieszkuje... I niezawodnie myślisz sobie, jak to być może aby ten komu Bóg dał taką towarzyszkę życia, mógł chcieć się z nią rozstać.

Moréac (żywo). Zapomnieć o swoim obowiązku, który nakazuje mu być jej podporą i opiekunem.

Kerviler. Posłuchaj a zrozumisz mnie. Gdy zaślubiłem moją żonę, nie kochała mnie... kochała innego!... Ten inny już nie żył, ale pamięć o nim żyła w jej duszy. (Poruszenie Moréac'a) Sama mi to wyznała, wyznała otwarcie i uczciwie, w obec swego ojca. (Znowu poruszenie Moréac'a) Starzec był umierający... Przerażony ogromem klęsk spadłych na nas, błagał ją i zaklinał ze łzami aby oddała mi swą rękę a tem samem całej rodzinie zapewniła moją opiekę. Ona...

Moréac. Ona...

Kerviler. Ona zawołała wtedy odchodząc prawie od zmysłów: „Wiesz dobrze, mój ojcze, że nie należę już do siebie, i dlaczegoż nie chcesz mi dozwolić zagrzebać się na zawsze w moich wspomnieniach i żałobie.“ A zwracając się do mnie, dodała: „Uprzedzam pana że nie w mojej mocy zapomnieć, że choćbym nawet chciała nie zdołam zatrzeć w mojej duszy wspomnienia i postaci, która na zawsze nad wszystkich i na wszystko droższą mi pozostanie... A teraz, jeźli poprzestaniesz na tem abyś drugie miejsce zajmował w mojem życiu, oddam ci moją rękę... ale miej litość nade mną... oszczędzaj mi boleści... i przebacz... zanadtobym cierpiała, gdybym z innych jak jego ust miała usłyszeć: Kocham cię!...

(Pada na fotel).

Moréac (głucho). Biedna męczennica!

Kerviler (zwraca się ku niemu). Widzę łzy w twoich oczach... co je wyciska? Litość nad nią, czy zgroza i oburzenie przeciw mnie?... (Poruszenie Moréac'a) O! przebaczyłbym ci je łatwo! Podobne małżeństwo było zbrodnią, skoro z niej czyniło ofiarę... Duma, litość, obowiązek, zarówno nakazywały mi odmówić... a jednak czy uwierzysz temu, właśnie to jej wyznanie silniej jeszcze pociągało mnie ku niej, gdyż dowodziło niezrównanej wzniosłości duszy i prawości charakteru... To też spotęgowało jeszcze miłość moją... ujmując dłoń jej, odpowiedziałem, „połączmy prawość naszych charakterów; zaufaj i bez obawy powierz mi staranie o szczęście twoje; jak ja bez obawy powierzam ci straż mego honoru; połącz los swój z losem człowieka, który potrafi nawet miłość swoją zmusić do milczenia, szanując drogie ci wspomnienia.“

Moréac (żywo wzruszony). Powiedziałeś jej to!

Kerviler. O! nie chwal mnie za to... łudziłem się nadzieją że potrafię ją wzruszyć... że miłość moja... czas... A! byłem szalony, cóż znaczy czas dla takiej jak ona kobiety?... nie mogłaby dwa razy kochać... Nic nie mogło zatrzeć w jej pamięci obrazu nieobecnego. Przybyła ze mną do Bressuire—ale postać jego i tu jej towarzyszyła... i wtedy to zaczęła mnie dręczyć straszna, niepojęta męczarnia—zostałem zazdrosny o umarłego!... (Poruszenie Moréac'a) Ha! wydaje ci się to szaleństwem!... ale sam osądź... Czy wspominała mnie podczas twego tu pobytu?... Czy drżała z obawy o życie moje, o grożące mi niebezpieczeństwa?... Czy wzruszało ją bezgraniczne moje poświęcenie dla naszej sprawy?... Czy zapłakałaby nad śmiercią moją?... Ale po co zadawać szalone pytania, czyż dziś rano nie czytałem odpowiedzi w jej oczach? Spojrzawszy na nią zrozumiałem że on zawsze nas dzieli... gdy ustami dotknąłem jej czoła, cofnęła się jakby przerażona świętokradztwem!... Ach! błogosławię czekającej mnie śmierci, która uwolni ją ode mnie.

(Biegnie ku drzwiom chcąc zawiadomić żołnierza).

Moréac (idzie za nim prędko i zatrzymuje go stając przed drzwiami). Wstrzymaj się!

Kerviler (chcąc go odsunąć). Puść mnie!

Moréac. Nie! o teraz już nie w imię mej rozpaczy ale w imię dręczących mnie wyrzutów sumienia, błagam cię! zaklinam, pozwól mi umrzeć za siebie...

Kerviler. Wyrzutów sumienia?

Moréac. Tak! śmierć stanie się dla mnie więcej jak wyzwoleniem, bo odpokutowaniem!... Ktoś idzie łaski!... litości!...

Scena jedenasta.

Ciż, Lambert, wchodzi bocznemi drzwiami.

Kerviler (idąc ku niemu). Ja jestem hrabia de Kerviler.

Lambert. Już za późno.

Kerviler. Za późno?

Lambert (wchodząc między nich). Ach! nieszczęśni! czemuż nie zrozumieliście że pod szorstką mową moją kryje się współczucie, rady pod groźbami.

Kerviler. Lecz cóż...

Lambert. Obydwa jesteście skazani na śmierć.

Kerviler (z rozpaczą). I on także.

Lambert. Komendant był nieubłagany; obaj są zarówno winni, powiedział, jeden przekradł się do miasta a drugi go ukrywał, więc obu trzeba rozstrzelać.

Kerviler (z rozpaczą). O mój przyjacielu! ja to jestem przyczyną twej śmierci.

Moréac (do Lamberta). A prośba moja?

Lambert. Odmówiona.

Moréac (z rozpaczą). Ach! błagam pana nie daj mi umierać bez pomocy religijnej... Rozstrzelajcie mnie, skażcie na najsroższe męki... ale nie odłączajcie mnie od Boga w chwili gdy dusza moja ma do niego wracać... Pomyśl tylko że my Bretończycy wierzymy gorąco i wiarą tylko żyjemy.

Lambert (rozrzewniony). Wiem o tem.

Moréac. Ona dla nas, więcej jak życiem, bo zbawieniem.

Lambert. Wiem o tem.

Moréac. Nie zechcesz zabijać duszy mojej!

Lambert. Dość, dość tego! Byłem jeńcem w Bouchamps; tam widziałem jak w przeddzień bitwy pułk cały modlił się na klęczkach. Zrozumiałem wtedy czem jest dla was obecność kapłana w chwili śmierci, i przejęty tem wspomnieniem, tak gorąco jak ty mnie, błagałem komendanta aby uwzględnił twoją prośbę. I czy wiesz co mi odpowiedział? —„Ha! powiadasz iż wierzy że będzie potępiony jeźli nie dozwolę mu przyzwać księdza, tem lepiej, dopieroż będzie się bał śmierci!“ (Biorąc silnie rękę Moréac'a). Zadaj mu kłam i gotuj się do niej odważnie!

(Wychodzi drzwiami w głębi).

Scena dwónasta.

Kerviler, Moréac.

Moréac (bezsilny rzuca się na fotel). Umierać bez rozgrzeszenia!

Kerviler. Uspokój się przyjacielu. Pojmuję i podzielam gorącą wiarę twoją, i za nic w świecie nie byłbym wczoraj opuścił obozu bez spowiedzi. Lecz możeszże myśleć, że ta dobrowolna śmierć męczeńska nie będzie policzoną jako odpokutowanie za przewinienia twoje?... Czyż przypuszczasz, że samo bohaterstwo twoje nie zmaże przed Bogiem jakiejś winy przeszłości, mogącej kryć się w głębi twego sumienia?

Moréac (siedząc, zawsze gorączkowo). Lecz jeźli jest to coś więcej jak proste przewinienie?

Kerviler. Najczystsze dusze bywają zazwyczaj najdrażliwsze; delikatne ich sumienie poczytuje sobie jakiś błąd...

Moréac (przerywając). Jeźli to więcej jak błąd?

Kerviler. Więcej jak błąd! potwarzasz się, przyjacielu.

Moréac. Jeźli to jest zbrodnia?

Kerviler (pochylając się ku niemu). Zbrodnia!... co też mówisz... myśl o blizkiej śmierci dziwne mary budzi w twej wyobraźni... Zbrodnia!... i jakąż to zbrodnię mogłeś popełnić, dziecko moje!... (nieco uśmiechnięty) Cóż, zamordowałeś kogo, dopuściłeś się krzywoprzysięztwa, nikczemności, przeniewierstwa względem naszej świętej sprawy?

Moréac. O! dzięki niebu, podłość jest mi nieznaną, ale czyż namiętność nie może popchnąć do zguby?

Kerviler. Tak, ale taką Bóg pojmuje, a miłosierdzie jego tłomaczy ją i przebacza.

Moréac. Wierzę i ufam w miłosierdzie Boże... wiem że może przebaczyć temu.. kto oszalały namiętnością... gubi sam siebie... Ale jeźli zgubił inną osobę?

Kerviler. Inną osobę?

Moréac. Jeźli czystą duszę pociągnął do złego!

Kerviler (poważnie). Czystą duszę!

Moréac. A! to straszne!... Mogęż stanąć przed Sędzią moim dwakroć występny... bo podwójną obarczony winą?...

Kerviler (z przekonaniem). A więc możesz zmazać tę winę.

Moréac (żywo). Jakim sposobem?

Kerviler. Przypomnij sobie pierwsze czasy chrześciaństwa. Wszak wiesz że już apostołowie a następnie koncylia postanowiły, że jeźli dwóch chrześcian w chwili śmierci przemocą pozbawieni zostali wszelkiej pomocy religijnej, wtedy męczeństwo

przyodziewałoby ich świętością i nadawało charakter kapłański, i dlatego mogli się wzajemnie spowiadać i rozgrzeszać.

Moréac. O nieba!

Kerviler. A nigdy nie mógł zachodzić gwałt bezbożniejszy, jak ciężący dziś nad nami... nikt nigdy nie mógł okrutniej jak my dziś być pozbawionym pociechy duchowej... Zbliż się więc, przyjacielu i otwórz mi serce swoje.

Moréac. Tobie!...

Kerviler. Gdzież znalazłbyś więcej bratnią duszę, zdolniejszą żal twój pojąć i uwzględnić?

Moréac. Ja!... wyznać tobie!... Oh! nie! nie! nie mów tego!

Kerviler. I o cóż ci chodzi?... czy wstyd cię powstrzymuje?... Ależ przyjaciel nie usłyszy tego co wyznasz kapłanowi.

Moréac. A jeźli kapłan odmówi mi rozgrzeszenia?

Kerviler. Co mówisz?

Moréac. Jeźli zbrodnia moja przejmie go strasznem oburzeniem, że przeklnie mnie zamiast rozgrzeszyć.

Kerviler (z mocą). Alboż mógłby to uczynić? Zapominasz że działając w charakterze kapłana, przestaje być zwykłym człowiekiem i wyrzeka się wszelkich namiętności ludzkich. Czy nie świadczy o tem sama nadawana mu nazwa, czyż nie nazywamy go ojcem?

Moréac (oddalając się rozgorączkowany) Nie!... nie!... to niepodobna!...

Kerviler (podchodząc ku niemu). Czyż nie dałem ci przykładu? Aby twoje zrozumieć serce, dość mi spojrzéć we własne... I ja także nie umiałem oprzéć się namiętności... ty zgubiłeś czyjąś duszę, ja złamałem życie!... I czy uwierzysz temu, niestety! teraz nawet gdy za chwilę stanąć mam przed Bogiem nie mogę wyrwać z serca tego co je rozdziera... Nie oskarżam jej!... ale nie mogę przestać nienawidzieć ani złorzeczyć tego niewidzialnego a obecnego zawsze tego, zmarłego i żyjącego!... (Poruszenie Moréac'a) Widzisz więc, przyjacielu, że pojmuję wszelkie szały i porywy namiętności, że znam i doświadczam wszelkich cierpień i mąk jakie miłość zrodzić może.. Nie obawiaj się więc, wyznaj winę twoją bo zwierzysz się z niej równie jak ty nieszczęśliwemu! A tak gorąco błagać będę Boga, modlitwa przyjaciela tak szczerze złączy się z modłami kapłana! iż dojdzie do nieba, które wysłucha ich i przebaczy... Odwagi więc! przyjaciel przemawiał, kapłan słuchać cię będzie.

(Siada w fotelu).

Moréac (po chwili milczenia, nadzwyczaj wzburzony, pada na krzesło stojące z drugiej strony stołu). Cóż powiem? Stare to dzieje.. poróżnieni i nienawidzący się ojcowie i kochające się ich dzieci... Rozpaczą miotany, udałem się na daleką wyprawę, a za powrotem...

Kerviler. Za powrotem?

Moréac. Dowiedziałem się...

Kerviler. Że umarła?

Moréac. Nie, że poszła za mąż.

Kerviler. Więc nie dochowała ci wiary.

Moréac. O nie! oszukano ją, sądziła się wolną.

Kerviler. A gdy za widzeniem się z tobą, dowiedziała się...

Moreac. Nie widzieliśmy się i nic wzajemnie nie dowiedzieliśmy się o sobie, gdyż odjechała zanim powróciłem.

Kerviler. A więc cóż sumienie wyrzucać ci może skoro jej nie widziałeś?

Moréac. Później spotkaliśmy się z sobą. O! Bóg widzi że wszelkiemi siłami starałem się jej unikać. Dowiedziawszy się że została żoną innego, chciałem odebrać sobie życie.

Kerviler. Dopuścić się samobójstwa!

Moréac. Wiem że byłoby to zbrodnią—ale jedno tylko miałem na myśli; pokonać pokusę zobaczenia jej! Gdyby mnie ujrzała gorzko wyrzucałaby sobie swoje małżeństwo, zatrułbym spokój jej sumienia... wiedząc że ja żyję, życie stałoby się dla niej męczarnią!... Dowiedziałaby się że własny ojciec ją oszukał!... Nie! nie! zawołałem w duszy, trzeba zniknąć ze świata, niech ja tylko będę ofiarą... I byłbym pewnie usłuchał głosu rozpaczy, gdy w tem wybuchła wojna Wandejska, więc rzuciłem się w jej wir szukając śmierci... Niestety! z jej powodu miałem dopuścić się strasznej zbrodni mojej!

Kerviler. Jakto?

Moréac (z rozpaczą i boleścią). Czy przypuszczasz że mogą wydarzać się w życiu tak nieprzeparte fatalności, iż wbrew woli naszej popychają nas do zguby?... Czy przypuszczasz żeby dwie istoty czyste, prawe, uczciwe, które bezgraniczna tyrania rozłączyła a niepojęty zbieg wypadków zbliżył z sobą niespodzianie... mogły do tego stopnia dać się obłąkać gorączkowemu uniesieniu, żeby w chwili szału zapomnieć o wszystkiem i nieskalaną przeszłość swoją skalać występkiem?...

(Wypowiedziawszy ostatnie słowa usuwa się z krzesła, i upadłszy na jedno kolano, wspiera głowę o róg stołu).

Kerviler (ze współczuciem poważnie). Dość, dość, nie potrzebuję wiedzieć więcej!... Widzę żal twój, widzę że nieszczęsny zbieg okoliczności popchnął cię do upadku... to nadaje mi prawo powiedzieć ci... (wstając) Synu mój...

Moréac (zawsze klęcząc, z wybuchem). Wstrzymaj się!

Kerviler. Czemu?

Moréac (zawsze klęcząc, gorączkowo). Nie! nie!... nie mogę!... nie chcę!

Kerviler. Jakto, nie chcesz rozgrzeszenia?

Moréac. Tak... nie powiedziałem jeszcze...

Kerviler. Czego, czy nazwiska tej osoby? znać go nie potrzebuję i nie powinienem.

Moréac (z wybuchem). Ale ja!...

(Zrywa się prędko i jakby nieprzytomny przebiega na prawą stronę).

Kerviler. Co tobie?... przerażasz mnie... jesteś jak w obłędzie...

Moréac (do siebie). Milcząc oszukiwałbym go!... byłoby to ukraść mu przebaczenie!... Nie! nie! byłaby to niecniejsza jeszcze zbrodnia.

Kerviler. Na miłość boską! co tobie?...

Moréac. Ja!... muszę wyznać, muszę w zupełności otworzyć ci serce... (Spostrzega Annę ukazującą się na lewo, na progu drzwi do dalszych pokoi, zatrzymuje się nagle krzyknąwszy głośno, i przechodząc na prawą stronę sceny woła): W obec niej! nigdy! nigdy!...

Scena trzynasta.

Ciź, Anna.

Kerviler, (podchodząc ku niej, i prowadząc ku przodowi sceny). Proszę dopomóż mi do spełnienia wielkiego obowiązku; powiedz mu że nie ma prawa wątpić o mnie.

Anna. O cóż chodzi?

Kerviler. Pozbawieni kapłana, przypomnieliśmy sobie, że w tak strasznych chwilach wolno jest chrześcianom wyznać przed sobą winy swoje i rozgrzeszać się wzajemnie. Ja odkryłem mu tajniki sumienia mego, a on...

Anna, (z krzykiem przerażenia). On wyznał!

Kerviler (zatrzymuje się uderzony tym okrzykiem). On wyznał! Jakimże głosem to powiedziałaś. (Wpatrując się w oboje z kolei). To pomieszanie!... odwracacie oczy!... (Z strasznym wykrzykiem). Ach! nędzni!...

Moréac. Łaski!

Kerviler. Nie!... Zniesławiłeś mnie!... shańbiłeś najczystszą pod słońcem istotę!

Anna. Łaski!

Kerviler. Nie! złamałaś zaprzysiężoną wiarę!.. Bądź przeklęta!...

Moréac (głosem rozpaczliwego błagania). Mój ojcze!

Kerviler (nazwa ta wstrząsa jego sercem i przeraża). Mój ojcze! ja!... i przeklinam!...

Anna (zbliżając się do niego, drżącym głosem). Wysłuchałeś go aby rozgrzeszyć.

Kerviler (podnosi głowę z szalonym gniewem i gwałtownie przechodzi na lewo). Rozgrzeszyć! A! to więcej jak niepodobieństwo! Miałżebym pojednać go z Bogiem! na jego... i twoją głowę ściągnąć przebaczenie... Nie! to przechodzi siły ludzkie... nie chcę! nie mogę!... Bądźcie...

Anna (prędko podbiegając ku niemu). O tak! tak! masz słuszność!.., przeklinaj mnie bo zasłużyłam na to, bo za winę moją całe życie pokutować mogę... Ale on! nieszczęśliwy! stoi na progu wieczności, jeźli mu nie przebaczysz... zgubiony na wieki.

Kerviler (chwytając jej ręce). Ach! szalona! czyż nie rozumisz że każde słowo twej prośby za nim, jak ostrze sztyletu godzi w me serce, że miłość twoja dla niego zazdrość moją zamienia w wściekłość! Daj mi pokój!...

(Pada na fotel).

Anna (klękając przed nim). Nie! musisz mnie wysłuchać!... To nie Anna, to nieszczęśliwa nieznana ci kobieta klęczy u nóg twoich... sądź ją, wydaj wyrok na mnie!... Przez dwa miesiące obowiązek nie dozwalał mi go opuszczać... musiałam patrzeć jak odzyskuje siły, dopomagałam wrócić do życia... Wtedy powinna byłam uciekać, pobiedz do ciebie!—ale sił mi zbrakło... Te dwa miesiące odebrały mi siłę oporu .. Czułam się zgubioną... i nie rozpaczałam... (Kerviler zrywa się gwałtownie). Ach! szalona jestem! drażnię cię zamiast wzruszyć! Ale patrz tylko na łzy moje... Gdy winowajca żałuje — kapłan przebacza.

Moréac. Gdy winowajcy walczyli z sobą, kapłan przebacza.

Anna. Trudne to i wielkie zadanie, ale nie za wielkie dla twej wzniosłej duszy!

Oboje klęczą u stóp Kerviler'a; on stoi ręce wpijając w czoło, łkanie pierś jego podnosi. Widać że straszną stacza z sobą walkę; aż powoli rozkurczone ręce jego opadają. Wznosi oczy do nieba, potem spogląda na klęczących, błagalnie wznoszących ku niemu oczy i ręce).

Kerviler (na wpół siedząc na brzegu stołu, mówi wzruszonym głosem). Tak, biedne dzieci, wy nie jesteście występnemi, ale męczennikami!... ja to skazałem was na męczeństwo... jam przyczyną waszego nieszczęścia i sprawcą waszej winy... Gdybym był jej nie poślubił, bylibyście teraz nieskalani i szczęśliwi!... Ach! czemuż nie zginąłem w tej wojnie!... (Wchodzi między nich). Czemuż sam tylko umrzeć dziś nie mogę i moją śmiercią okupić jego życia, jak on swoje oddał za mnie!... Oto wszystko co dać wam mogę. Przebaczam wam jako człowiek, jako kapłan rozgrzeszam!

Moréac. Ach!

Kerviler. On za winę swoją odpokutuje śmiercią. (do Anny pokazując Moréac'a) Ty życiem, a potem, kiedyś, Bóg połączy co połączonem być powinno.

Scena czternasta.

Ciż, Lambert, wchodzi drzwiami w głębi.

Kerviler (idąc ku niemu). Jesteśmy gotowi.

Lambert. Prędzej! uciekajcie!

Wszyscy. Co?...

Lambert. Uderzono na bramę Południową—żoł-

nierze nasi pobiegli na szańce... nie ma żadnego w domu ani w ogrodzie. Uciekajcie!

Anna. Ach! zbawco nasz!

Lambert. Dobrze, dobrze... wdzięczność na potem! (do Moréac'a i do Kerviler'a) Uciekajcie temi drzwiami.

Anna. Idę z nimi.

Lambert (zatrzymując ją). Żeby im zawadzać w ucieczce!... Ja czuwać będę nad panią.

Kerviler (do Anny, z mocą). Bywaj zdrowa! Jeźli oba zginiemy, zapłacz nad nami,—jeźli jeden przeżyje, zapomnij o drugim.

(Wybiega drzwiami w głębi).

Lambert (stojąc przy drzwiach mówi do Anny). Rozejrzyj się pani czy który żołnierz nie został.

Anna (patrząc oknem na ogród). Nie widać żadnego.

Lambert (zawsze przy drzwiach). Czy widzisz ich pani?

Anna (w oknie balkonowem). Tak, tam na dole, na progu małej furtki.

Lambert (przybiega do niej, wychyla się oknem i mówi cicho do uciekających). Idźcie ostrożnie, pocichu, aby nie usłyszano.

Anna. Dochodzą do ulicy.

Lambert. Już ich nie widać. (Nagle z krzykiem) O nieba!

Anna. Co się stało?

Lambert. Spostrzeżono ich.

Anna. Kto?

Lambert. Kilku wałęsających się żołnierzy!... Patrz pani, tam.

Anna. Pod drzewami?

Lambert. Tak... dwóch żołnierzy goni za nimi.

Anna. Dopędzili ich!... słyszę wołanie... krzyki!

Lambert. Słyszę odgłos walki.

Anna. Śpieszmy im na pomoc.

(Chce wybiedz. Słychać nieco przytłumiony wystrzał).

Lambert (zatrzymując ją). Jakąż pomoc dać im pani możesz?

Lambert. Rzucę się między nich a ich morderców... zginę za nich... lub z nimi... Chodź pan!

(Idą ku drzwiom bocznym).

Lambert. Nie słychać już strzałów, zdołali uciec!

(Oboje pochylili się ku drzwiom, nasłuchując).

Kerviler (wchodzi drzwiami w głębi). Anno!

Anna (wydaje krzyk). On zginął!

Kerviler (słabnącym głosem). Nie... zdołał uniknąć śmierci...

Anna. Ależ ty... ta bladość!...

Lambert (podtrzymując go). Chwiejesz się... tracisz siły...

Kerviler. Tak... w utarczce z żołnierzami... zostałem śmiertelnie ugodzony!

Anna (z bolesnym krzykiem). Śmiertelnie!

Kerviler. Nie żałuj mnie... śmierć moja jest szczęściem... rozłącza co rozłączonem być powinno...

Anna (z rozpaczą). Nie!... ty nie umrzesz!

Kerviler (padając na fotel). O! strzał dobrze trafił... i dla tego tylko tu się przywlokłem, aby ci powtórzyć ostatnie słowa moje: Jeźli obaj zginiemy, zapłacz nad nami... jeźli jeden przeżyje... zapomnij o drugim!...

(Przechyla się na fotelu. Anna pada przed nim na kolana, Lambert odkrywa głowę, zasłona spada).

Wiosna.

Już skowronek na zagonie
Ranny pacierz nuci,
Wschodem słońca niebo płonie,
I do życia cuci.

Zbudź się serce, w koło wiosna
Skarby swoje sieje,
W koło płynie pieśń radosna,
Ustrój się w nadzieję.

Drzemać tobie w bezczynności
Grzechem by się zwało,
Gdy w koło tyle piękności
Niebo nam rozlało.

Patrz na mrówki, raźno spieszą
Korzystać z pogody,
I pszczółki się wiosną cieszą,
Pracują w zawody.

Bocian wrócił, gniazdo ściele,
Wita stare sioło,
Usiadł sobie na kościele,
Klekocze wesoło.

Jaskółeczka żwawym lotem
Zwiedza dawną strzechę,
I milutkim swym szczebiotem
Niesie nam pociechę.

Szare wróble gospodarze
Prowadzą naradę,
I każdy z nich w swojej parze
Dąży na osadę.

Krówki mruczą na ugorze,
Pastuszki pląsają,
Rolnik wesół ziemię orze,
Dziewczęta śpiewają.

Śpieszą w pole sąsiadeczki
Wesoło gawędzą,
Rumiane, bose dzieweczki
Skacząc, gąski pędzą.

Wyszedł dziaduś na podwórze
Zgarbiony i siwy,
Wziął siekierkę kołki stróże,
I nuci szczęśliwy.

W koło niego płowych główek
Gromadka swawoli,
Bose, nagie, bez wygódek,
Nędza ich nie boli...

Wietrzyk igra z warkoczami
Młodej smukłej brzozy,
I swarzy się z listeczkami
Zieleniuchnej łozy.

Mruczy strumyczek po łące
Choć niedawno cichy,
Pieści nad brzegiem rąsnące
Kwiateczków kielichy.

Oj tyś wiosno czarownica,
Dokazujesz cuda,
Zmieniasz postać, zmieniasz lica,
Wszystko ci się uda.

Czy roślina, czy robaczek,
Wszystko czar twój czuje,
Drobne ptaszę i ślimaczek
Tobą się raduje.

I smutnym lżej gdy ich twoja
Cudna woń owieje,
A i chorym i biedakom,
Ślesz balsam-nadzieję.

Więc wiosenko niech twe tchnienie
Martwe serca wzruszy,
Przemów wiarą i nadzieją
Do zbolałych duszy.

Niech egoizm nie zastudzi
Tej cząsteczki nieba,
—Sercom, trzeba żyć dla ludzi,
Kochać, wierzyć trzeba.

Pieśń natury drży miłością,
Czerpaj w niej natchnienie,
Nie gnuśnij obojętnością
Co wlało cierpienie.

Okąp myśli świeżem tchnieniem
Z goryczy zwątpienia,
Niechaj ulecą z westchnieniem
Ku niebu, cierpienia.

Wzrusz się nieszczęściem bliźniego,
Spójrz na nędzę ludzi,
Wspomóż czem możesz biednego,
Współczucie łzę budzi.

A gdy spłynie łza gorąca
Nad drugich niedolą,
To myśl twoja nieba trąca,
Własne łzy mniej bolą.

Bóg powołał nas do czynu
I do poświęcenia,
Więc też na ołtarz ludzkości
Nieśmy i cierpienia.

Natalja K...

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez
Wiktora Cherbuliez
przekład
Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

Kobieta która wywiodła Samuela Brohl z Egipskiej niewoli, była księżną. Posiadając majątki ziemskie na dalekim wschodzie, raz w przejeździe zatrzymała się w karczmie w której wzrósł Samuel. Miał on wtedy lat szesnaście. Mimo brudnych łachmanów jakiemi był przyodziany, uderzyła ją postać chłopca. Księżna miała wiele rozumu i była wolna od wszelkich przesądów. Gdy go oczyszczą, przerobią, pomyślała, gdy go opłuczą w czystej wodzie, kiedy pozna cywilizowany świat, będzie z niego bardzo piękny chłopiec. Zaczęła z nim rozmowę i spostrzegła że był dziwnie, rozwinięty lubiła ludzi rozumnych. Kazała mu śpiewać, głos jego podobał się księżnej, która ubóstwiała muzykę. Zaczęła go pytać, opowiedział jej historyą nędznego losu, a gdy mówił ona powtarzała sobie w myśli:—Nie, nie mylę się, jest przed nim przyszłość, za dwa lub trzy lata będzie to przepyszny okaz. Trzy lata, to czas nie tak długi; ogrodnik szczepiący dziczki, dłużej czekać musi. Gdy skończył mowić, księżna odpowiedziała mu z kolei iż potrzebnym jej był sekretarz, że miała już kilku, lecz nie potrafili jej zadowolić; w końcu zapytała czy nie czuje w sobie powołania, do podobnego zajęcia. Zamiast odpowiedzi Samuel wskazał palcem na ojca, który siedząc w progu domu, palił fajkę. Po chwili księżna zostawszy sam

na sam z Jeremiaszem Brohl, zaczęła z nim rozmowę.

Nie zwlekając zapytała czyby nie sprzedał jej syna. Zdziwienie karczmarza ustąpiło przed uczuciem dumy i zadowolenia. Z początku oświadczył iż nie miał syna na sprzedaż, lecz w końcu dodał, że gdyby go kiedy sprzedał, to za wysoką cenę, był to bowiem jak twierdził towar rzadki i niepospolity. Żądania jego były bajeczne wygórowane, księżna zaczęła się targować, on zaś zaręczał, że nic opuścić nie może, iż u niego na wszystko były ceny stałe. Targ podobny trwał dość długo, wreszcie kupująca chciała się wyrzec kupna, sprzedający obniżył cenę i nastąpiła zgoda. Księżna kazała zawołać Samuela i rzekła do niego:

— Odtąd już do mnie należysz mój chłopcze, kupiłam cię za gotówkę; czy cię ten handel zadawalnia?

Wiadomość o szacunkowej wartości jego własnej osoby, zadziwiła chłopca niepomiernie, chciał wiedzieć na jaką sumę go oszacowano, lecz księżna nie powiedziała mu tego, dała tylko do zrozumienia iż drogo zapłacić jej kazano. Samuel ze swej strony postawił warunki, iż przez trzy lata jeszcze będzie należeć sam do siebie, iż wolno mu będzie w trakcie tego czasu uczyć się, zadawalniać ciekawość jaka budziła się w jego umyśle. Księżna przystała chętnie na żądanie chłopca, wchodziło to właśnie w jej rachubę, trzeba było bowiem aby owoc dojrzał nim go podać miano na stół książęcy. Potem udzieliła mu wiele rad i objaśnień, świadczących o rozległej wiedzy i znakomitym rozumie mówiącej. Księżna znała świat, rozumiała stosunki polityczne, badała i pojmowała wszystko, co jest i co nie jest nauką.

Tak to Samuel Brohl, z kieszenią obładowaną złotem, udał się na nauki do Pragi, potem do Heidelbergu, ztamtąd przeszedł do Bonn wreszcie do Berlina i Paryża. Niespokojna jego natura nie pozwalała mu długo na miejscu przebywać; paliła go żądza wiedzy, pochłaniał coraz nowe wiadomości i szedł naprzód bez celu, nie wiedząc dokąd dąży.

Księżna wiele podróżowała, Samuel Brohl widywał ją po kilka razy na rok. Zapytywała go, badała, oglądała, jak ogrodnik który ogląda owoc chcąc się przekonać czy rychło dojrzeje. Samuel był szczęśliwy, wolny, używał życia i jego przyjemności. Niekiedy tylko patrząc w zwierciadło mówił sam do siebe ze smutkiem:—Oto postać człowieka sprzedanego, a kobieta która go kupiła nie jest ani młodą, ani piękną. Zamierzał nauczyć się jakiego rzemiosła, by tym sposobem zebrać pieniądze potrzebne na wykupienie samego siebie, lecz zamiar ten spełzł na niczem.

W usposobieniu jego leżała wielka duma i wielkie próżniactwo. Jego pierwotne wykształcenie było tak nieprawidłowe, iż dla naprawienia przeszłości, trzeba było wielkiej i długiej pracy. Ale Samuel nigdy nie pracował nad sobą, miał zdolności, nieograniczoną pamięć, lecz grunt jego wykształcenia był nader chwiejny, podstawy bardzo niepewne i słabe. Posiadał połowiczne talenta, tylko nie przeceniał ich przecież, wiedział że nigdy nie zaprowadzą go na pierwszorzędne stanowisko, a podrzędnego nie pragnął zdobyć. Najbardziej brakowało mu woli, która jest główną podstawą w człowieku. Chciał zeskoczyć z konia, który go niósł tam gdzie on iść nie chciał, lecz spostrzegłszy że nogi jego przytwierdzone były do strzemion, nie miał siły wydobyć ich i pozostał na siodle. Nie mogąc stać się wielkim człowiekiem, spuścił się na los we wszystkiem i został niczem. Stanowczy dzień zastał go niewypłacalnym, i księżna weszła w pełne posiadanie własności.

— O! tak, poeci są trucicielami, pomyślał hr. Laryński, żeby Samuel Brohl nie był nigdy czytał Kupca Weneckiego, ani ballad Schyllera, byłby się chętnie zgodził z nowem położeniem, byłby w niem nawet upatrywał pewne korzyści, jedząc i pijąc swobodnie wstyd i hańbę. Ale on czytał poezye, zrozumiał też całą okropność stanowiska jakie zajmował, brzydził się samym sobą, serce podnosiło bunt, pragnął gwałtem oswobodzić się z pod tego jarzma. Księżna spostrzegłszy walkę toczącą się w duszy Samuela, czuwała nad nim, nie spuszczała z niego oka, wypłacała mu częściowo nędzne wynagrodzenie za spełniane usługi, mówiąc do siebie samej: —Póki nie będzie miał pieniędzy nie pomyśli o ucieczce. Myliła się jednak, Samuel uciekł a lękając się pogoni, szukał schronienia w najskrytszych okolicznych zakątkach. Wtedy to po raz pierwszy uczuł, czem jest głód, gdyż w niewoli Egipskiej nie brakło pożywienia. Pędził jak mógł nędzne dni życia i przeklinał poetów. Dowiedziawszy się o śmierci ojca pospieszył odebrać spuściznę. Lecz stary Jeremiasz Brohl na dwa lata przed śmiercią, zdziecinniał zupełnie a nędzny dobytek rozszedł się nieznacznie; po jego śmierci zostały trzy kulawe stołki, cztery odrapane ściany i kilka klejnotów, schowanych w tajemnej skrytce, o której wiedział Samuel. Stary Jeremiasz nie mogąc ich sprzedać za właściwą cenę, wolał zachować je, jak puścić między ludzi niżej wartości. Sprzedawszy złoty naszyjnik Samuel udał się do Bukaresztu, w nadziei że tam zrobi majątek. Przybywszy na miejsce dawał lekcye muzyki, lecz trzymanie się regularne godzin, wkrótce znudziło go niepomiernie. Znienawidził swych uczniów, uczennice lekceważyły go, nie domyślając się nawet że był piękny, bo przeczuwały iż w nim żydowska krew płynie. I po cóż przybył do tego miasta w którem wszyscy niemcy są żydowskiego pochodzenia, wszyscy żydzi zaś, uważani za coś pośredniego między człowiekiem a zwierzęciem? Chociaż zebrał już trochę pieniędzy przyszedł dzień w którym smutek nim owładnął, tak, że pomyślał o śmierci.

Hr. Abel Laryński nachyliwszy się, zerwał z rosnącego nieopodal drzewka zieloną gałązkę, musnął nią kilka razy usta i roześmiał się głośno; potem uderzywszy się w piersi po razy kilka, rzekł półgłosem:—Dzięki Bogu Samuel Brohl nie umarł, kiedy jest tutaj w tej chwili!

Mówił prawdę, Samuel Brohl nie umarł i dbał bardzo o życie, od czasu jak wśród gór Szwajcarskich spotkał Antoninę Moriaz. On to przybył do Cormeilles i w tej chwili siedział na zielonej łączce w cieniu rozłożystych drzew i zarośli. Może śpiewająca przed chwilą jaskółka poznała go i dlatego przestała nucić. Tak, człowiek opowiadający swą historyą, był prawdziwym Samuelem Brohl, najlepszym tego dowodem jest, że roześmiał się głośno a Samuel Brohl śmiał się niekiedy, gdy tymczasem hr. Abel Laryński nie wiedział nawet czem jest uśmiech, a co więcej od lat czterech nie należał już do tego świata. Ta ostatnia przyczyna jest najważniejszą.

Ten którego odtąd nazywać będziemy Samuelem Brohl, gniewał się sam na siebie za chwilowy wybuch, tak jak by się był gniewał, za uderzenie fałszywej nuty w sonacie Mozarta. Przybrał znów postać poważną, pełną godności, by powitać widmo ukazujące się przed oczyma swej wyobraźni. Było to owo widmo człowieka, którego niezbyt dawno przyzywał siedząc w hotelowej izdebce, którego wówczas nazywał bezrozumnym marzycielem i utopistą, lecz tym razem powitał go grzecznie i serdeczniej. Nie chciał się z nim obchodzić surowo, życzył mu dobrze, miał względem niego obowiązki, a Samuel Brohl nie był niewdzięcznikiem.

— Tak, to ja jestem mój biedny przyjacielu, rzekł tym niemym językiem, zrozumiałym dla widm i duchów. Zająłem twoje miejsce w świecie, przybrałem twą postać, na wielkim jarmarku życia odgrywam twoją rolę, choć twoje szlachetne ciało spoczywa od czterech lat o sześć stóp pod ziemią, z mojej łaski żyjesz jeszcze. Miałem zawsze dla ciebie cześć i uwielbienie, podziwiałem cię, byłeś wcieloną odwagą, poświęceniem, dobrocią, wyżej ceniłeś honor, jak wszystkie żyły złota w Kalifornii, nienawidziłeś tego co poziome i zbrukane. Matka twoja karmiła cię temi anielskiemi szaleństwy, byłeś prawdziwym szlachcicem, prawdziwym Polakiem, ostatnim don Guichottem tego wieku przesiąkłego materyalizmem. Błogosławiony traf który nas połączył! Tyś żył samotny, oddalony od świata, nieznany, pędząc dnie życia na nędznem poddaszu w Bukareszcie. Tak bywa na świecie, tyś się ukrywał, nie mając nic do ukrycia przed Bogiem i ludźmi; ty któremu należały się laury i uznanie. W dzień naszego pierwszego spotkania, podobałem się tobie, polubiłeś mnie, mówiłem o ulubionych twych przedmiotach, słuchałeś chętnie mej muzyki. Pokochałeś mnie nawet i stałem się twym jedynym towarzyszem, powiernikiem. Przyznaj, że mnie zawdzięczasz ostatnie dobre chwile na tej ziemi. Opowiedziałeś mi historyą twej młodości, zamiarów i nieszczęść. Mówiłeś o przodkach twoich. W tajemniczyłeś mnie w najdrobniejsze szczegóły twego wynalazku. Byłem pojętny, zrozumiałem, lub zdawało mi się że rozumiem. Wynalazek ten, strzelba ta, mówiłeś, wzbogaci cię kiedyś, sam bowiem wyrzekłeś się wszelkich zamiarów na przyszłość, wiedząc iż dnie twego życia były porachowane, gdyż cierpienie serca niezwykło żartować. Namówiłem cię byś towarzyszył mi do Wiednia, podróż ta miała być dla ciebie zabójczą, przysięgam ci że nie spodziewałem się tego.

Samuel złożył ręce i mówił dalej:—Bodaj mój język przyrósł do podniebienia, bodaj krew zastygła w żyłach, bodaj kości moje skruszyły się, jeśli kiedy zapomnę o wdzięczności jaką winien jestem Ablowi Laryńskiemu, i o tej nędznej izdebce w której stanęliśmy w pierwszą noc podróży. Dostałeś gwałtownego zaduszenia, nie miałeś siły obudzić mnie, ani zawołać. Przybiegłem jednak. Cichym gasnącym głosem wyrzekłeś ostatnie żądania. Oddałeś mi ostatnie tysiąc reńskich, które sprawiły mi tyle przyjemności, co pomarańcza podana tonącemu, potem wskazawszy palcem szkatułkę, zawierającą pamiątki rodzinne, listy, pamiętniki, twoje papiery, rzekłeś:—Zniszcz to wszystko, skonała przeszłość, niechże i mnie nikt nigdy nie wspomni. Wyrzekłszy to żyć przestałeś. Przyznaję się, byłem ci nieposłusznym. Portret twej matki, papiery twoje, wszystko zachowałem a dając znać policyi o śmierci towarzysza, oznajmiłem iż człowiek który życie zakończył nazywał się Samuel Brohl, a że żyjący podróżny był hr. Ablem Laryńskim. Cóż chcesz, pokusa była nadto gwałtowna. Samuel Brohl miał smutnych przodków, nędzną historyą i był sprzedany nosił na sobie plamę nie dającą się oczyścić, a że miał nieszczęście czytać poezye, były chwile w których pogardzał samym sobą. Nadszedł wreszcie czas wykreślenia go z księgi ludności tego świata, cieszyłem się myślą że on umarł, a ja żyłem. W końcu przyzwyczaiłem się do myśli iż jestem hr. Ablem Laryńskim, uczułem się swobodnym i szczęśliwym, jak dzieci które matka ustroi w nowe suknie. Imię twe dało mi świetną przyszłość, rozpatrywałem się w niej, zwiedzałem wszystkie jej za-

kątki jak byłby to czynił biedak w niespodziewanie odziedziczonej majętności. Tyś mi zostawił w spóściźnie rodziców, bohaterskie czyny. Gdyś ty cierpiał, ja czułem, gdyś płakał, z moich to oczów łzy płynęły. I cóż więcej możesz chcieć ode mnie? Pomiędzy przyjaciółmi wszystko powinno być wspólne. Porzuciłem własną skórę, oblokłem twoją, jest mi w niej wygodnie i przy niej zostanę. Dziś jestem do ciebie zupełnie podobny, zaręczam że widząc nas razem niktby rozpoznać nie zdołał. Przybrałem twoje zwyczaje, twoje ruchy, mowę twoją, twoją smętną wesołość, dumę, twe uczucia, wszystko, nawet kolor włosów i charakter pisma. Ablu Laryński ja stałem się tobą; mylę się, jestem więcej Polakiem, więcej Laryńskim, niż ty sam nim byłeś.

Twarz Samuela Brohl przybrała dziwny wyraz. Zdawał się nie należeć do tego świata, rozmawiał z widmem, lecz nie był przestraszony, ani uroczysty jak Hamlet rozmawiający z cieniem ojca. Postępowanie jego względem ducha prawdziwego Abla Laryńskiego było przyjazne, naturalne jakby miał do czynienia ze wspólnikiem, któremu od czasu do czasu zwykł dawać rachunek ze swych czynności i finansowych obrotów.

— Prawdę mówiąc, niektórzy, kochany Ablu, ze spółki czynią niekiedy cuda, cóż znaczy człowiek sam jeden! Ale najlepszą, najużyteczniejszą spółką na świecie, jest właśnie ta którą zawarliśmy z sobą. Żywy i umarły mogą oddawać sobie wielkie usługi, nie sprzeczając się nigdy. Ty powinieneś być zadowolonym, odgrywasz piękną rolę, imię twoje znaczy niemało. Nie mówmy już o twojej strzelbie, była to spekulacya chybiona, której ci przez długi czas darować nie mogłem. Zawiniłeś wciągając nas w podobny labirynt, lecz z łaski nieba powróciliśmy na prostą drogę. Pięć tygodni temu spotkaliśmy kobietę, i jaką kobietę! Ma ciemne aksamitne oczy, z których tryska spojrzenie czyste, jasne jak fale kryształowego potoku. Aby ją określić trzeba sobie przywieść na pamięć słowa pieśni. Wargi jej wydają miód, kibić podobna do palmowego drzewa, jest czysta, niewinna, jak strumień zakryty. Ona do nas należy Ablu Laryński wspólniku mój, ona się nam oddała, podzielemy się tą zdobyczą. Pokazałem jej moją twarz od której nie odwróciła oczów, opowiedziałem twoją historyą, tak jakbyś był ją sam opowiedział, z prostotą bez dodatków, nic nie opuszczając. Wzruszenie ogarnęło jej serce, i oddało nam się ono bez podziału. Ty ją pojmiesz za żonę, ona będzie nosić twoje nazwisko, nie bój się nie zapomnę nigdy iż jestem tylko twoim wspólnikiem.

To rzekłszy zrobił ruch gwałtowny, jakby dla odpędzenia widma, które rozwiało się drżąc z bólu i wstydu. Przechodzący paw' zaczął krzyczeć żałośnie. Niemądre zwierzę! pomyślał Samuel Brohl na którym krzyk ten niespodziewany, wywarł przykre wrażenie. Spojrzawszy na zegarek przekonał się, iż godziny mijały szybko na rozmowie z duchami.

Powstawszy poszedł gościńcem wiodącym po nad brzegami Sekwany. Odwrócił raz jeszcze głowę i ujrzał między zielonością białą ścianę uśmiechającą się do niego, spiczastą wieżyczkę, nad którą unosiły się białe gołębie panny Moriaz. Poznał zaraz to miejsce rozkoszne i przesłał w powietrze pocałunek, pocałunek ten był zarówno dla gołębi jak dla wieżyczki, dla domu jak dla kobiety, dla kobiety jak dla domu. Po raz pierwszy w życiu Samuel Brohl był zakochany; ale tacy ludzie jak Samuel, nie kochają w ten sam sposób co Abel Laryński. Uwielbiają kobietę, chociażby obraz sam był najpiękniejszy, ramy byle były kosztowne, podobają im się zarówno jak i sam portret, i chcą posiadać ich właścicielkę, ze wszystkiem co ją otacza, co od niej zależy i do niej należy.

(d. c. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

Wiktor Hugo.

Początkowe trudności jego zawodu literackiego. Charakterystyka jako człowieka prywatnego.

(Dokończenie).

Zarzucają Wiktorowi Hugo, a raczej nazywają go naśladowcą Szekspira. Określenie to należy przyjmować z nadzwyczajną ostrożnością. Podobieństwo między utworami dwóch wielkich pisarzy jest nader względne, dostrzedz je można w nader swobodnym układzie dramatów, i w obranym rodzaju prac historycznych. Z bogatej jednak kopalni, każdy wydobywa właściwy sobie kruszec, i przerabia je po swojemu. Fantazya u Szekspira jest niewątpliwie potężniejsza, posiada on dostateczną siłę, aby dawne legendy, jak naprzykład w kupcu weneckim, uczynić prawdopodobnemi. Hugo jest bez porównania naturalniejszym, unika wszelkich fantastycznych postaci, na legendy nie zwraca wielkiej uwagi, ale zato szuka przedmiotu w pamiętnikach współczesnych, dających dokładne wyobrażenie o epoce, którą zamierza malować. Tymczasem szczególnym objawem niesprawiedliwości ludzkiej, Wiktorowi Hugo zarzucano właśnie nienaturalność i przesadę, kiedy wady te w Szekspirze kładziono na karb ogromnie bujnej fantazyi.

Z dramatów pisarza francuzkiego, szczególniej Ruy-Blas, narażony był na ciosy krytyki, a tymczasem, jak to zobaczymy, charakterystyka epoki była nader wiernie zachowana.

Przed stu kilkudziesięciu laty, ogłoszono dzieło pod tytułem „Pamiętniki dworu hiszpańskiego, przez hrabinę d'Aulnoy. Książka rozeszła się w niewielkiej liczbie egzemplarzy, a i te jeszcze spoczywały w pokoju na pułkach bibliotecznych, a choć mało znana dała właśnie Wiktorowi Hugo pomysł do jego dramatu. W ostatnich czasach pamiętniki pani d'Aulnoy ogłoszono drukiem powtórnie, materyał źrodłowy znalazł szersze koło czytelników, a w obec podanych tamże szczegółów, najzawziętsi przeciwnicy autora Ruy-Blasa umilkli.

Główny pomysł do dramatu, zaczerpniętym został z poniżej dającego się ustępu.

W dzień Zwiastowania udała się młoda królowa do klasztoru Wcielenia, w towarzystwie ambasadorowej francuzkiej. W czasie nabożeństwa, miała ochotę pomówić z nią, ale nie znalazła chwili sposobnej, ponieważ czujna camarera ochmistrzyni przeznaczona do ścisłego zachowywania przepisów etykiety dworskiej, stała na przeszkodzie. Za powrotem do pałacu czyniła honory przy obiedzie danym dla dziewięciu ubogich kobiet; z których każda otrzymała następnie ubranie i woreczek z pięcioma pistolami. Damy dworu przynosiły półmiski; królowa matka, spełniała taką samą ceremonją ze swej strony. Z największem jednak zadziwieniem, młoda królowa znalazła w kieszeni od swej sukni list zapieczętowany z napisem na kopercie:

Do rąk własnych królowej.

Początkowo nie wiedziała co zrobić: chciała go ponieść natychmiast do króla; niepewność jednak co się w nim znajduje, nakłoniły ją do otwarcia. List napisany zmienionym wielce charakterem, ułożony był po hiszpańsku w następujący sposób:

„Wysokie stanowisko jakie zajmuje wasza królewska mość i rozdział jaki z tego względu zachodzi między nami, nie były w stanie zniweczyć miłości, jaką w mojem sercu wzbudziły wysokie jej przymioty.

„Umrę dla ciebie najjaśniejsza pani; widuje panią i cierpię, chociaż nie domyślasz się stanu mego serca, nie zwracasz nawet pięknych swoich oczów w moją stronę. Ah pani! jakże się jest nieszczęśliwym rodząc się poddanym, skoro posiada się w sercu uczucia, godne największego monarchy na świecie.“

Królowa długi czas stała zdziwiona i marząca nie rozumiejąc ktoby mógł być tym nierozważnym śmiałkiem, który poważył się przesłać jej list podobnej osnowy? Nie ulegało wątpliwości, wsunęła jej do kieszeni list jedna z zaproszonych kobiet na obiad. Wprawdzie w czasie jej pobytu w klasztorze Bożego Ciała mogła która z zakonnic spełnić to, ale następstwa tego czynu pociągały za sobą zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

W trakcie podobnych rozmyślań powstało w umyśle królowej zapytanie: czy czasem camarera naczelna nie urządziła całego zdarzenia, aby zbadać królowę co też uczyni w podobnym wypadku? Jeżeliby więc list był zatajonym, złośliwa kobieta powiadomiłaby króla, co mogłoby pociągnąć za sobą nieobliczone następstwa.

Zaniepokojona wielce, postanowiła nareszcie całe zdarzenie opowiedzieć królowej matce, aby w razie potrzeby ta udzieliła zaświadczenie o jej niewinności.

Królowa matka uspokoiła ją co do następstw zaszłego wypadku, a ponieważ był to dzień urodzin młodej królowej która skończyła lat osiemnaście, na wieczornem więc przyjęciu, w trakcie którego składano życzenia i podarunki, przysłała jej strój z dyamentów i przepysznych turkusów.

Camarera czyli wielka ochmistrzyni dworu, powiada autor, jest to kobieta stara, nadzwyczajnie złośliwa, pozornie tylko zachowywająć uprzejmość dla królowej. Wysilenia te jednak kosztowały ją wielce, i każda słodycz okazana drugiej osobie, osobiste sprawiała jej cierpienie. Po upływie pewnego czasu, wróciła do właściwego sobie usposobienia prześladując biedną królowę na każdym kroku i nie dając jej chwili wypoczynku. Królowa za pośrednictwem przymileń; usposobiwszy dobrze króla, prosiła go aby jej przyrzekł z góry spełnić prośbę, którą do niego zaniesie. Król przyrzekł. Wówczas królowa ze spuszczonemi oczami prosiła go, aby księżna de Terranowa usuniętą została od dworu, urząd camarery aby był powierzony innej osobie.

Król prośbą niewymownie zdziwił się, czas jakiś stał w milczeniu, a później rzekł: że dotychczas żadna jeszcze królowa hiszpańska nie zmieniła naczelnej camarery.

— Ah! najjaśniejszy panie, odpowiedziała królowa, dałeś mi tyle dowodów swej dobroci, że i teraz mam nadzieję że uczynisz zadosyć mej prośbie.

— Niechże i tak będzie, odpowiedział król biorąc za rękę swą małżonkę, zgadzam się, ale działaj z wielką rozwagą co do wyboru przyszłej camarery, gdyż powtórna zmiana byłaby niepodobną.

Wzajemne stosunki dwojga młodych małżonków, opisane są dosyć zabawnie.

Królowa martwiła się nadzwyczajnie pogorszeniem stosunków Francyi z Hiszpanią; lękała się wojny. Do okoliczności powyższych dołączyło się zmartwienie, wywołane nieporozumieniem między małżonkami.

Królowa miała bardzo przez siebie ulubioną piękną psinę bonońską, a nie znajdując jej w nocy przy sobie, zaniepokojona wstała po cichu, i szukała jej w ciemności. Tymczasem król spostrzegłszy nieobecność swej połowicy, zapytał głośno gdzieby była?

— Szukam mego ulubieńca, odpowiedziała królowa głosem zupełnie naturalnym.

— Rzecz szczególna, zawołał król z gniewem; dla nikczemnego psa król i królowa Hiszpanii chodzą po pokoju w nocy bez światła. W trakcie tego piesek znalazł się niespodzianie przy nogach królewskich i kopnięty silnie zaskowyczał niemiłosiernie. Królowa chociaż z wielką łagodnością ale wymówiła małżonkowi okrucieństwo.

Nazajutrz równo z dniem król pojechał sam na polowanie, nie wymówiwszy ani słowa do swej małżonki. Królowa zaniepokojona wielce, znaczną część dnia spędziła wyglądając oknem, pomimo napomnień camarery, że to nie zgadza się z wysokiem stanowiskiem królowej Hiszpanii. Karcona nie zwracała najmniejszej uwagi na ciągłe przymówki, a dostrzegłszy wracającego króla, zbiegła ze schodów i z prawdziwą swobodą francuzką rzuciła mu się na szyję, mimo przepisów etykiety i zdziwionych twarzy dworaków. Król uradowany otrzymanym dowodem miłości i żalu królowej; spędził wieczór nader wesoło, a nawet na prośby swej małżonki, dozwolił popadłemu w niełaskę księciu d'Ossone, wrócić do sprawowanego dawniej urzędu Wielkiego Koniuszego.

Przywiedzione ustępy z pamiętników, usprawiedliwiają zapatrywanie Wiktora Hugo, na malowaną przez siebie epokę dziejową, w dramacie Ruy-Blas. Główne typy charakterów i obyczaje odmalowane są wiernie, a pewna przesada ze względu na rzeczywistość powiązanych wypadków, usprawiedliwioną jest wymaganiami scenicznemi.

Byłoby może z większem prawdopodobieństwem, gdyby tajemniczy człowiek ośmielający się podnieść oczy na królowę hiszpańską, był grandem, zajmował wysokie stanowisko w kraju; poetą jednak ze względu na wymagany kontrast w tragedyi, zrobił go zwykłym germkiem.

Bezwątpienia potrzeba było wielkiego talentu pisarskiego, aby wywiązać się z tak wielkiej trudności i usprawiedliwić przed widzami, miłość królowej dla mężczyzny zajmującego tyle pogardzone stanowisko. Jednym ze środków wiodących do tego celu było przedstawienie króla ze strony śmiesznej, wykazującej jego niedołęztwo umysłowe. W dramacie przeto król przez dni kilkanaście poluje nie dając o sobie żadnej wiadomości, królowa nudzi się dręczona nadto ustawicznemi przestrogami camarery.

Nareszcie rozchodzi się wielka nowina. przybywa jeździec z listem królewskim. Wszyscy ciekawie oczekują na wiadomości. Byłoby rzeczą najprostszą rozedrzeć kopertę i przeczytać list, ale czynność ta nie może być dokonaną inaczej, jak tylko w formie oznaczonej przepisami etykiety. Zbiera się przeto dwór cały, każdy zajmuje właściwe mu miejsce, królowa siada na przygotowanem wzniesieniu, paziowie w odpowiedniem otoczeniu wnoszą na poduszce list królewski. Gdy ten nareszcie otwartym został, wyczytano w nim następujące doniesienie. „Pani! Deszcz pada i zabiłem pięciu wilków." Zaiste potrzebaby być nader surowym, aby rzucić kamieniem potępienia na młodą osiemnastoletnią kobietę, która z nudów może pokochawszy innego, nie zapomniała jednak nigdy o obowiązkach przywiązanych do stanowiska mężatki.

Camarera przedstawioną jest w dramacie z zupełną prawdą, nie potrzeba było barw jaskrawych, aby nagiąć tę postać do wymagań scenicznych.

Przegląd literacki.

Encyklopedya Wychowawcza Tomu I-go zeszyt I, Warszawa 1880 r.

Kraje zasobniejsze od naszego w środki materyalne i potężniejsze w siły intellektualne, jedynie przy pomocy państwowej lub staraniem towarzystw naukowych zdobywają się na wydawnictwa poważne, kosztowne, służące do użytku nie mass całych, lecz tylko ludzi poświęcających się nauce w ogóle, lub niektórym jej gałęziom. Pojawianie się u nas takich publikacyi zawdzięczamy zawsze (z małym wyjątkiem) ofiarności obywatelskiej, głębokiemu poczuciu dobra powszechnego, a nadewszystko jasnemu pojęciu obowiązków, jakie w danej chwili mają do spełnienia względem ojczystego kraju rozumniejsi i zamożniejsi jej synowie.

Do tego rodzaju wydawnictw zalicza się obecnie wychodząca w Warszawie *Encyklopedya Wychowawcza*, o której doniosłem znaczeniu, sądzimy, że chyba nikt z naszych czytelników nie wątpi. Jaki z niej odniesie pożytek kraj nasz, a mianowicie jego dorastające lub przyszłe pokolenie, krótko i jasno znajdujemy wypowiedziane w prospekcie do rzeczonej encyklopedyi.

Na czele tego wydawnictwa jako promotorowie i redaktorzy, stanęli: Lubomirski, Stawiski, Przystański i Plebański. Same nazwiska mężów, *dobrze już zasłużonych względem kraju*, są dla nas rękojmią, że zamierzone dzieło nie tylko do końca doprowadzone zostanie, lecz doprowadzone umiejętnie, z całą znajomością ostatnich wyników nauki. Okazuje to już poczęści tomu pierwszego zeszyt pierwszy, który mamy pod ręką. Zeszyt ten zawiera trzy artykuły i czwartego początek: *Abecadło, Afekt, Afektacya i Agrykola...*

Tu pozwalamy sobie zrobić maleńką uwagę, która może na jakie takie uwzględnienie zasługuje.

Zacni i światli redaktorowie ułożyli zapewne naprzód abecadłowy wykaz artykułów mających być zamieszczonemi w Encyklopedyi Wychowawczej, i rozpisali je do opracowania licznie wezwanym specyalnym współpracownikom, to wszakże jak uczy doświadczenie, cały ciężar pracy spadnie na redaktorów i kilka zaledwie osób, które będą chciały i mogły wywiązać się należycie z włożonych na nie obowiązków. To już rzecz redakcyi, i nie o to nam idzie właściwie, lecz o rozciągłość i sposób opracowania pojedynczych artykułów, mających znaleźć miejsce w Encyklopedyi.

Jeźli Encyklopedya Wychowawcza nie ma być zbiorem rozpraw mniej lub więcej naukowo traktowanych, lecz organiczną całością, wzajemnie w swoich częściach dopełniającą się; wówczas rozciągłość i zakres każdego z jej artykułów powinien ściśle się mierzyć jego ważnością, gdyż jeśli nad miarę rozszerzymy się nad jakim ważnym wprawdzie przedmiotem, lecz w porównaniu z innemi podrzędnym, to zachodzi pytanie, jaki rozmiar trzeba będzie zachować względem tych pierwszorzędnych przedmiotów. Tu mamy dwie drogi do wyjścia: albo, postępując konsekwentnie, zmuszeni będziemy rozwinąć stosunkowo obszerniej owe ważne przedmioty, przez co zwiększa się nad plan pierwotny liczba tomów całego wydawnictwa; albo, z uszczerbkiem jego naukowej wartości trzeba będzie traktować je pobieżnie i podać w głównych zaledwie rysach, a potem po ukończeniu dzieła dodawać konieczne *suplementa*. W błąd tego rodzaju popadło wielu znakomitych wydawców Encyklopedyi niemieckich i francuzkich. Przykroby nam było, gdyby polska Encyklopedya Wychowawcza nie umiała zręcznie przepłynąć między tą Scyllą a Charybdą, zwłaszcza, że mamy pod tym względem pewne obawy, uzasadnione przeszłością...

Każdy z naszych uczonych specyalistów mając sobie oddany do opracowania jaki przedmiot, jako w nim rozmiłowany, uważa go za jeden z najważniejszych, i bez względu na całość Encyklopedyi, usiłuje go przedstawić wyczerpująco prawie, popisując się częstokroć wcale niepotrzebnie ze swoją erudycyą, która w osobnem dziełku lub rozprawie byłaby na swojem miejscu, w Encyklopedyi zaś jest tylko zawadą.

Myśl tę nasunął nam pierwszy artykuł pierwszego zeszytu Encyklopedyi Wychowawczej, *Abecadło*, opracowane przez p. Radlińskiego. Zdaje się, że autor przekroczył granice właściwe artykułowi do Encyklopedyi przeznaczonemu, chociaż praca jego jest naukową rozprawą, umiejętnie zestawioną z tego wszystkiego, co o *abecadle*, jedynie pod względem graficznym i eufonicznym, inni pisali. Wzgląd gramatyczny, mianowicie też systemat spółgłoskowy, który jak wiadomo, jest podstawą wszystkich odmian w językach słowiańskich, a mianowicie też w polskim, został pominięty. Zapewne Encyklopedya wróci się jeszcze do abecadła w innem miejscu. Z pracy pana R. może korzystać jedynie specyalista i trafiłby pewno do niej, gdyby wydaną była w oddzielnej broszurce, o której istnieniu i treści Encyklopedya zawiadomić go tylko powinna.

Wszak przyjętą powszechnie jest zasadą, iż zadaniem wszelkiej Encyklopedyi nie jest właściwe *nauczanie*, lecz raczej *poinformowanie* czytelnika, który pragnie dany przedmiot zbadać.

J. Pracki.

Z kraju i z zagranicy.

— *Towarzystwo Historyczno-lekarskie* w Paryżu przyznało doktorowi Stanisławowi Smolce, profesorowi uniwersytetu krakowskiego, nagrodę konkursową 1,800 fr. za pracę jego *„Mieszko Stary i wiek jego."* W dziele tem objęte są dzieje Polski od 1139 r. do pierwszych lat XIII wieku. Praca ta obejmuje około 30-stu arkuszy druku.

— Niepodobna pomyśléć bez współczucia o nieszczęśliwej wdowie po Napoleonie III-cim jeźli nie jako o cesarzowej strąconej ze stopni tronu, to jako o kobiecie i matce która utraciła jedynego syna, jedyną pociechę po smutnych przejściach, ostatnią lepszej doli nadzieję. Wiadomo że udała się do kraju Zulusów dla zwiedzenia miejsc, w których przebywał, zginął i wiecznym snem spoczął książę Ludwik Napoleon. Dzienniki podają w jaki sposób przepędziła dzień 1 czerwca, rocznicę śmierci syna. W przeddzień przybyła do Itelezi zkąd nazajutrz rano wyruszyła ze swym orszakiem; zatrzymano się na wzgórzu gdzie wysłany ambulans oczekiwał na zwłoki cesarzewicza, a stamtąd pieszo cesarzowa udała się stokiem doliny ku drodze w której znaleziono śmiertelne szczątki jej syna. Tak biedna matka uszła blizko milę angielską tąż samą drogą którą przeniesiono zwłoki księcia. Droga to skalista i stroma, jednak nie odstręczyło to zrozpaczonej matki. Zdaleka widać było wzniesiony niedawno pomnik, którego białe ściany odbijały wyraźnie od ciemnej roślinności stepu. Zdaje się, że łzami przysłonięte oczy cesarzowej, nie dozwoliły dostrzedz jej go aż gdy doszła do samej drogi. Wtedy błagalnie wzniosła ręce ku niebu, łzy strumieniem płynę-

y po wychudłej i zmienionej do niepoznania tak pięknej niegdyś twarzy, i padłszy na kolana w gorącej zatonęła modlitwie. Obok cesarzowej ukląkł margrabia Bassano, cały zaś orszak cofnął się na wzgórze aby nieszczęsnej matce pozwolić płakać i modlić się samotnie. Kapłan z missyi francuzkiej odprawił kościelne modlitwy za zmarłych, a kamerdyner Lomas, świadek bolesnej katastrofy, opowiedział na miejscu smutne jej szczegóły. W pobliżu rozbito namioty i cesarzowa przebyła dwa dni w tej samotnej dolinie. W następnych dniach zwiedziła tak zwany fort Napoleoński, w którym książę raz pierwszy spotkał się z nieprzyjacielem rekonesansu, a 5 czerwca zwiedzono pobojowisko pod Isandulą, na którem cesarzowa odprawiła modły z towarzyszącemi jej damami angielskiemi, które utraciły tu mężów, synów lub braci. Zastanowiwszy się nad tak smutną dolą dzisiejszą cesarzowej Eugenii, trudno nie powtórzyć słów Pisma św. „Tak przemija chwała świata!“

— Wiadomo że w wiekach średnich przyjętem było w krajach chrześciańskich, szczególniej po klasztorach, przedstawianie tak zwanych *Misteryi* przedstawiających w obrazach ustępy Męki Pańskiej; w późniejszych czasach zaniechano tych przedstawień uważając to, i słusznie, za rodzaj profanacyi. Obecnie więc widzieć je można jedynie w Ober Ammergau, w Bawaryi, gdzie mieszkańcy uważają się za zobowiązanych ślubem uczynionym przez ich prapradziadów przed dwoma przeszło wiekami, podczas gdy straszna dżuma zaczęła grasować w okolicy. Idąc za głosem ogółu i rząd bawarski zamierzał zakazać tych przedstawień, ale stary Lang, ojciec dzisiejszego burmistrza, potrafił zjednać sobie łaskę krolewską i wbrew zdania ministrów, Ober-Ammergau uzyskało zezwolenie monarsze odtwarzania na scenie w żywych obrazach męki i ukrzyżowania Chrystusa.

Tak więc Misterye przerwane przez lat dziesięć, rozpoczęły się w tym roku w dzień Zielonych Świątek i mają powtarzać się co niedziela i piątek do dnia 20 września. Kostiumy i dekoracye są obecnie świetniejsze niż w 1870 r. Teatr w którym odbywają się przedstawienia pod gołem niebem, wzniesiony jest na wzgórzu i może pomieścić około 6,000 widzów. Rzecz sama jak się dziś przedstawia, została przejrzaną i przerobioną przez miejscowego proboszcza, starca liczącego lat 102 i nową także dorobiono muzykę. Około siedemset aktorów bierze udział w przedstawieniach, są to z małym wyjątkiem ciż sami, którzy występowali w nich przed dziesięcią laty, a wielu posiada prawdziwie artystyczne zdolności.

Przygotowania do tej uroczystości odbywały się już przeszło od lat dwóch a próby od roku. Najpierw mają miejsce próby czytane ogólne, potem osobno z każdego ustępu, a w końcu ogólne zbiorowe dla całego widowiska, i taka każda trwa cały dzień. Ostatnia odbyła się 9 b. m. Na tegoroczny cykl zamierzają dać 23 przedstawień i jedno zupełnie osobne dla króla Ludwika.

Uroczystość rozpoczęła się 16 b. m. Na znak nadejścia upragnionej chwili dano ognia z moździeży z okolicznych wzgórzy; na wieżach kościelnych odezwały się dzwony, niezliczone tłumy widzów wszelkich klas zdążały ku kościołowi. Wtem rozległ się po kościele poważny głos organów i kapłan odprawił Mszę św., po skończeniu której trzy wystrzały zwiastowały rozpoczęcie uroczystości.

Sprawozdawca „Figara“ podaje bardzo szczegółowy opis tych przedstawień, których widzowie śledzą z głębokiem przejęciem dramatyczny rozwój życia i męki Chrystusa, a zajęcie ich nie ustaje pomimo że widowisko trwa od 8 rano do 6 wieczór, z półtoragodzinną zaledwie przerwą. Objaśniwszy liczne obrazy odtwarzające skon Chrystusa, p. Wolff przystępuje do opisu dramatu najsilniejsze na widzach czyniącego wrażenie. Dwa żywe obrazy poprzedzają „drogę krzyżową,“ pierwszy przedstawia Izaaka niosącego na górę drzewo ze stosu na którym miał być spalonym — tak Chrystus miał ponieść krzyż swój na Kalwaryę.

Drugi obraz składający się z dwóch części przedstawia Mojżesza ze spiżowym wężem, a następnie węża tego na rodzaju krzyża i lud izraelski leczący wiarą ukąszenia żmii, a chór tłomaczy że tak ukrzyżowany Chrystus leczyć będzie rany dusz tych którzy w Niego wierzą i w Nim ufność pokładają.

Gdy znów zasłona się podnosi, dekoracya przedstawia ulicę w Jerozolimie a po obu jej stronach dwie boczne, niby trzy części tryptyku. Ulicą z lewej strony postępuje znękana boleścią św, Magdalena, św. Józef z Arymatei, św. Jan z towarzyszami mającymi być obecnemi żałobnemu pochodowi; zaś ulicą środkową nadchodzą niewiasty jerozolimskie z dziećmi, którym Chrystus udzieli błogosławieństwo idąc na Golgotę. W głębi trzeciej ulicy ukazuje się orszak nadciągający pomału w grobowém milczeniu. Na czele konny dowódzca, dalej straż a za nią Zbawiciel upadający pod ciężarem krzyża. Obraz ten nadzwyczaj silne sprawia wrażenie.

Po ostatnim obrazie następuje ukrzyżowanie Chrystusa. Pochód oddala się, zasłona spada, scena przez chwilę zostaje pusta. Wchodzi na nią chór ubrany żałobnie i rozmawia o ukrzyżowaniu Chrystusa a jednocześnie słychać odgłos uderzania młotków. Chór oddala się; lud i straż zapełnia pro-scenium, zasłona się podnosi, ukazując kończące się ukrzyżowanie Chrystusa. Zbawiciel leży na ziemi przybity do krzyża, który podnoszą i wkopują w ziemię. Z umysłu na dwóch łotrów wybierają ludzi bardzo nizkich, aby wiszący wśród nich Chrystus rozpięty na krzyżu, którego przedstawia Józef Majer bardzo wysoki i imponującej postawy, zdawał się nadludzkie przybierać rozmiary. Niepodobna opisać wrażenia jakie obraz ten wywiera—głośne łkanie rozlega się dokoła.

Ukrzyżowanie Chrystusa przedstawione jest ze wszelkiemi szczegółami średniowiecznych Misteryi.

Strażnicy przytykają do ust Chrystusa gąbkę, słychać skargi i jęki dwóch łotrów, nareszcie kat wchodzi na drabinę i maczugą łamie im kości, których trzeszczenie słychać. Ukazuje się strażnik uzbrojony w włócznię i tą ostatni cios zadaje Chrystusowi, widać nawet krew tryskającą z tej rany, co z tysiąca piersi wywołuje okrzyk przerażenia.

Na przedstawienia te zjeżdżają się przybysze z całych Niemiec i z najodleglejszych krajów; samych Anglików przybywa parę tysięcy. Chcąc wyzyskać to zaciekawienie i dobry zrobić interes, p. Robertson, impresario londyńskiego Aquarium, umyślił sprowadzić wieśniaków artystów z Ober-Ammergau, aby dawali przedstawienia w Londynie i w tym celu w r. z. jeździł do Bawaryi. Publiczność z wielkiem zadowolnieniem czytała zawiadomienia i zawczasu zamówiono wszystkie miejsca. Dotąd nikt bowiem nie zdołał jeszcze zbadać tajemnicy jaką wieki średnie przekazały wieśniakom z Ammergau, mocą której aktor grający rolę Chrystusa przybity jest do krzyża. Pewien młody pastor protestancki, odbył podróż do Bawaryi aby jak mówi odkryć podstęp, ale nic odkryć ani przeniknąć nie zdołał; tajemnicę tę posiada tylko przedstawiający Chrystusa i przykuwający go do krzyża. „Żadne słowa, mówi on nie zdołają oddać przerażającego wrażenia jakie sprawia ta scena. Widzimy na głowie cierniową koronę z pod której krew na twarz spływa, gwoździe przebijające ręce i nogi, a wszystko tak wyraźnie, tak rzeczywiście, iż trzeba zapomnieć że to tylko udanie, i chwil kilka upłynie zanim zdołamy oprzytomnieć.“ Ale oczekiwanie publiczności angielskiej zostało zawiedzione; tak kardynał Manning jak biskupi anglikańscy wystąpili przeciw przedstawieniom które uważali za profanacyą religijnych wierzeń — i pan Robertson rad nie rad musiał zaniechać powziętego zamiaru.

— W zaułkach warszawskiego powiśla, pomiędzy różną biedotą, dość u nas liczną, znajduje się jedna zasługująca na szczególną pomoc i współczucie. Jest nią dawna córka obywatelska, wdowa po urzędniku, matka dwojga małoletnich dziatek, pozbawiona wszelkich środków utrzymania. Dotąd zarabiała szyciem, był to zarobek bardzo mały, bronił jednak od ostatecznej nędzy. Dziś chorobliwe skazy na źrenicach, ze zbyt wielkiego wytężania w pracy powstałe, grożą nieuleczoną ślepotą. Potrzeba więc koniecznie zmienić zajęcie, i w tym celu postanowiła wyuczyć się szewctwa. Dokonać jednak tego niełatwo.

Nauka każda kosztuje, wyuczenie się jakiego rzemiosła aby dawało korzyści, wymaga niemałego czasu i zupełnego mu oddania się, gdyż inaczej przewlekać się może do nieskończoności. Przez czas zaś nauki któż zarobi na kawałek chleba choćby suchego, kto nakarmi i czem biedne małoletnie dziatki?

Biedną więc wdowę i matkę polecamy opiece serc Waszych szlachetnych. Obdarzcie ją choćby grosikiem, choćby szmatką jakiego zużytego ubrania, dla biednego wszystko to mieć będzie nieocenioną wartość. Kto zaś pragnie osobiście wsparcie udzielić, niech pyta się o p. Anielę Kiedrzyńską mieszkającą przy ulicy Furmańskiej № 16/2704 na dole w mieszkaniu № 22 u p. Wyszomierskiej.

Opis ryciny kolorowej.

Ubranie dla dziewczynki lat 6—8. Spódniczka z gładkiego *Chally* garnirowana plisowaniem oszytem koronką; stanik paltocikowy z materyału deseniowego niedochodzący się z przodu, dopełnia kamizelka z gładkiego materyału. Kapelusz słomkowy ubrany kolorowym batystem i wązką wstążką.

Ubranie dla młodej panienki. Suknia biała muślinowa suto zagarnirowana plisowaniem i bufkami ozdobionemi koronkowemi lub wywodzonemi na tiulu bufkami. Kapelusz ubrany wstążką tego co pasek koloru. Długie mitenki białe jedwabne.

Ubranie dla dziewczynki lat 5—7. Spódniczka z gładkiego krepowanego mataryału *Yokohama*, przy otwartym paltociku kamizelka, kołnierz, mankiety i kieszenie z tkiegoż materyału w guście tureckim. Kapelusz duży słomkowy, ubrany fularem i piórami.

Ubranie z granatowego płótna, dla małego chłopczyka, naszywane białą taśmą. Kapelusz słomkowy marynarski pończochy granatowe, wysokie buciki.

Adres: **Helena Dąbrowska** utrzymująca Bióro informacyjno-nauczycielskie, Krakowskie Przedmieście Nr. 71, w Warszawie. Imię **Helena** należy zawsze dopisywać.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 2 Іюля 1880 г.
Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.**
Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

W JESIENI ŻYCIA,

PRZEZ

Klarę de Chandeneux,

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

„Spojrzałam na nią z najgłębszem zdumieniem; zdawała się dotąd nie dostrzegać oziębłości matki a ja z mojej strony starałam się utrzymywać ją w tem przekonaniu, że nie ma nic nadzwyczajnego w jej stosunku z matką.

„Teraz dopiero zrozumiałam ją dobrze; moje wybiegi nie zdołały ją w błąd wprowadzić, cierpiała, nie oskarżając nigdy matki.

„Łzy popłynęły z mych oczu... zapomniałam o moich obietnicach, zapomniałam co mi roztropność nakazuje. Uściskałam ją z czułością pełną politowania, jakbym uściskała sierotę, i czułam że zrozumiała mnie lepiej niżbym tego chciała.

„Począwszy od tego dnia, w którym zrozumiałyśmy obiedwie, że nie potrafimy złudzić się wzajemnie, nie miałyśmy już dla siebie żadnej tajemnicy. Ona nie taiła już przedemną że dawno domyśliła się że jest dla matki ciężarem, ja znów przyznałam że starałam się o ile możności, ale napróżno, niestety! zmienić to tak przeciwne naturze uczucie.

„Jednak Emelina nie umiała jeszcze wtenczas wytłomaczyć sobie dla czego była ciężarem, zrozumiała później dopiero, będąc już dorosłą panienką, że posiadanie tak słusznej córki musiało być przykrem dla osoby chcącej ukrywać swe lata.

„Jednak dopiero w końcu zimy, hrabina chcąc uniknąć kłopotu jaki mogłaby mieć z córką kończącą lat piętnaście, oświadczyła że ją umieści na jakiejś pensyi we Włoszech.

„Sama tylko myśl że będzie zmuszoną rozłączyć się ze mną, przywiodła Emelinę prawie do rozpaczy.

— Jeżeli cię to tak bardzo martwi, rzekła hrabina, postaram się o to aby Ludwika i na pensyi mogła pozostać przy tobie.

„Musiałam oznajmić, choć z bólem serca, że nie mogę zgodzić się na to, gdyż wiek i osłabione już zdrowie mej matki, nie dozwala mi przedłużać do nieograniczonego czasu pobytu zagranicą.

„Emelina rzuciła mi się na szyję błagając abym jej nie opuszczała, abym zabrała ją z sobą.

— Doprawdy, jesteś szalona! zawołała hrabina; widzę, że gdyby Ludwika wracała do Accroches, i ty pojechałabyś tam z nią chętnie.

— O! tak, tak!... odpowiedziała Emelina.

„Przez kilka dni następnych biedna dziewczyna tak była smutna i tak zmizerniała, że to zwróciło uwagę hrabiny.

— Zabierzesz ją z sobą na wieś, powiedziała do mnie; ja pojadę do Petersburga.

„Był to początek nowego życia dla Emeliny; zdawało się że odtąd już prawie wyłącznie należała do mnie, i wzmogło się jeszcze wzajemne nasze przywiązanie.

„Pożegnałyśmy sędziwego kapłana. Dotrzymał on swej obietnicy równie jak Emelina swojej; nie chciał jej nauczać bez wyraźnego zezwolenia matki, ale często kiedy ją spostrzegł w liczbie swych słuchaczy, wykładał jaśniej, mówił z większym zapałem, i prosił Boga aby oświecił tę niewinną duszę!

„Miewał nauki o tak wczesnej godzinie, że tylko ubodzy i pokorni przychodzili go słuchać, bogaci i wielcy odpoczywali jeszcze po uciechach, dnia poprzedzającego. Emelina nie spóźniła się jednak nigdy, a choć przez swoje urodzenie należała do najwyższych warstw społeczeństwa, wychowanie jej religijne było tak zaniedbane, że to co padre Guido mówił do prostaczków, było zupełnie dla niej odpowiedniem, i napełniło jej serce wiarą, nadzieją i miłością.

„Przejęta męztwem neofitów nie chciała dłużej kryć się przed matką z tem co ją tak uszczęśliwiało. Hrabina zadziwiła się i rozgniewała, nie tak jednak że bardzo jak się obawiałam. Zezwoliła aby córka nabrała gruntowniejszych wiadomości w rzeczach wiary, skoro moje „niedołęztwo“ nie umiało zapobiedz temu co się już stało, zapowiedziała tylko że nie chce już więcej o tem słyszeć.

— Trudno mi będzie przebaczyć wam obydwom podobne nieposłuszeństwo, rzekła w końcu, tak uszanowanie dla matki, jak i poszanowanie dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków, powinno was było powstrzymać od tego. Macie zresztą jakiś zupełnie odmienny sposób zapatrywania się na rzeczy do którego ja nie mogłabym się przyzwyczaić, a na poparcie waszych przestarzałych wyobrażeń używacie szumno brzmiących słów: sumienie... obowiązek... wieczność!... Lepiej nie mówmy już o tem... Zresztą Emelina ma już lat piętnaście, słusznie więc aby sama wybrała sobie drogę na dalsze życie... zawiniła tem jedynie że weszła na nią bez mojej wiedzy.

„Odtąd używałyśmy już zupełnej swobody, tym więcej że Emelina coraz rzadziej widywała matkę. Po powrocie z Petersburga hrabina zawezwała nas do Paryża, gdzie przepędziłyśmy przy niej całą zimę, a w następnym już roku bawiłyśmy tam tylko pare tygodni. Dziwne przez ten czas prowadziłyśmy życie, zapomniane prawie zupełnie, nieznane nikomu w salonach hrabiny, która usiłuje czasami przypomnieć sobie o córce, jakby nie chciała wyłamywać się zupełnie od jakiegoś przykrego obowiązku. Liczni goście pani d'Anglejean nie wiedzieli nawet o istnieniu Emeliny; bliżsi znajomi mogli zaledwie dojrzeć niekiedy z daleka, w pustych pokojach młodą panienkę przesuwającą się jakby cień jakiś. Gdyby ktoś zapytał służących powiedzieliby mu, że do pani hrabiny przyjeżdża czasem jakaś młoda „kuzynka“ z prowincyi.

„Biedna hrabina, tak namiętnie zamiłowana w zabawach, i tak gorąco pragnie być wiecznie młodą, że widocznie wyobraża sobie iż lata nie pozostawią na niej żadnego śladu, jeżeli nie będzie mieć przy sobie córki, któraby je zawsze jej przypomniała. Jest tak lekkomyślną że nie zdaje sobie sprawy z pobudek kierujących jej czynami, i może nie domyśla się nawet jak potwornem jest jej postępowanie. Według niej główną podstawą szczęścia jest młodość, piękność i hołdy uwielbienia, jakaż to więc musi być męczarnia dla takiej kobiety, mieć córkę ośmnastoletnią!... Szczęściem że ta córka ukrywa się na wsi, i nigdy nie skarży się na swe osamotnienie.

„W ciągu trzech lat przebyłyśmy w Accroches przeszło trzydzieści miesięcy, w spokoju i wspólnej miłości. Emelina z czułością córki oddaje drobne przysługi mej matce, a ja znów służę jej z najgłębszą wdzięcznością.

„Hrabina przebywa w Bordeaux dłużej jak zwykle, słyszałam że tam wszyscy przepadają za nią, mówiono nawet że zamierza powtórnie pójść za mąż, ale nie wierzę temu, bo dawniej słyszałam nie raz, jak patrząc z niechęcią na Emelinę, mówiła:—To ta szpetna dziewczyna, którą, pewna tego jestem, podstawiła mi za moją córeczkę mamka, stanowi przeszkodę nie dozwalającą mi pomyśleć o powtórnym związku.

„My nie odwiedzamy jej nigdy w Bordeaux, ona przybywa tu niekiedy, ale zawsze bawi bardzo krótko, i zdaje się oddychać swobodniej kiedy już wsiada na łódkę którą brat mój odwozi ją do statku, a twarz jej zdaje się wyrażać: „Dopełniłam obowiązku; córka moja jest tu zupełnie szczęśliwa, teraz mogę bawić się spokojnie.“

„Oto całe już dzieje życia Emeliny. Uważałam za stosowne opowiedzieć je panu, raz jako przyjacielowi mego brata, powtóre aby panu nie wydało się bardzo dziwnem to co tu widzisz. Kochana moja Emelina nie opowiedziałaby panu wszystkiego tak szczerze, bo zawsze pragnie usprawiedliwić matkę; ja nie jestem tak skrupulatną, a zresztą, miło jest powiedzieć prawdę komuś takiemu który wysłucha jej z prawdziwem współczuciem.

VIII.

Robert silnie wzruszony i przejęty boleścią, nie mógł nawet jednem słowem przerwać długiego opowiadania Ludwiki, tylko oczy jego to błyszczące oburzeniem, to przyćmione wyrazem smutku dowodziły z jakiem zajęciem przysłuchiwał się słowom poczciwej wieśniaczki, tak pełnem prostoty a jednak tak wymownem.

W miarę jak mówiła, przedstawiał sobie w myśli to dziecię pozbawione pieszczot, tę dziewczynkę zmuszoną ukrywać swe smutki i uczucia, tę młodą panienkę rozkwitającą zdala od świata, zdala od matki.

I on nie domyślał się nawet tak strasznej rzeczywistości; uwielbiał kobietę która mogła bez wyrzutów sumienia skazać własną córkę na tak smutne, posępne życie, i zaślepione serce nie ostrzegło go że nie była godną składanych jej hołdów.

Rozczarowanie było straszliwe, boleść ciężka do zniesienia, bo podwyższona gniewem na samego siebie, oburzeniem przeciwko tej, która tak niedawno jeszcze była bożyszczem jego serca, i litością dla niewinnej ofiary.

Kobieta którą oślepiony szałem pragnął uczynić towarzyszką swego życia, posiadała tylko powierzchowność piękna, a pod tą powabną powłoką kryło się martwe, kamienne serce, pozbawione wiary i uczucia. A gdyby też hrabina, spełniając jego ży-

czenie oddała mu rękę!... jakieżby to było straszne położenie!... Jakże był blizkim zawarcia śmiesznego, a zarazem nieszczęśliwego związku!

Sama myśl o tem przejęła go dreszczem, a Ludwika widząc silne wzruszenie malujące się na jego twarzy, musiała przypisywać je swojej wymowie i czuła się z tego dumną, a zarazem zadowolnioną, że jej ukochana Emelina, budzi tak niezwykłe zajęcie nawet w osobach znających ją bardzo mało.

— Dziękuję ci, panno Ludwiko, rzekł poważnie Robert; jestem ci szczerze wdzięcznym za okazane mi zaufanie, i za udzielenie mi tych wszystkich wiadomości.

Zdaje się że miał ochotę dodać jeszcze jakieś słówko nadziei lub żalu, ale się powstrzymał z obawy aby nie odgadnięto jego tajemnicy.

Późno już było i Ludwika zwracając na to jego uwagę dodała śmiejąc się, że jak widać, obecność jednego paryżanina jest dostateczną do przełamania najbardziej zakorzenionych zwyczajów. Pożegnała go uściśnieniem ręki, i pobiegła prędko do domu.

Robert wrócił do swego mieszkania sztywnym prawie, automatycznym krokiem. Biedny chłopiec w ciągu kilku dni tak ciężkie poniósł straty!... Wczoraj złożył do grobu szczęście, a dziś pogrzebał znowu złudzenia swoje.

Zaraz po wschodzie słońca, nazajutrz,—to jest zaledwie gdy Robert zasnął, — Rovelou przyszedł mu oznajmić że już czas wybierać się w drogę.

— Wyjąwszy, dodał śmiejąc się głośno, gdyby ci panie Robercie przyszła ochota zostać mieszkańcem i właścicielem nieruchomości w Accroches; jest właśnie dom do sprzedania, tam wyżej jeszcze na skałach.

Robert upewnił go że jeżeli nie rozproszy się jego mizantropija, której już czuje w sobie pierwsze objawy, z pewnością pośpieszy sobie obrać pustelnię w tak malowniczem położeniu.

— Przyjemności których panu nie zabraknie w Royan, rozweselą cię wkrótce.

— Nie pojadę do Royan.

— A! nie!... Sądziłem...

— I bardzo słusznie!.. Ale cóż chcesz kochany kapitanie staję się strasznie fantastycznym!... Przyszła mi nagle ochota zakosztować życia rodzinnego... Jeżeli to mnie nie zadowolni, zacznę znów bujać po świecie.

Robert wyrażał się z jakimś rozdrażnieniem, urywkowo, czego Rovelou nie dostrzegł w nim dotąd nigdy; zdawało się że mu przybyło lat od wczoraj i że zmarszczki które w tej chwili pokrywały jego czoło już z niego nie ustąpią nigdy. Ale kapitan nie wiedział nic o zawiedzionych nadziejach, i gorzkiem rozczarowaniem swego gościa, a przez delikatność nie chciał mu okazać swego zadziwienia.

Kiedy Robert miał pożegnać Toulousse'a i żonę jego, przypomniał sobie że ma tylko bilet na tysiąc franków, i że mu go trudno będzie zmienić.

Widok tak pięknego biletu wzbudził uczucie głębokiego szacunku w balwierzu i w jego małżonce. Jakaż to szkoda stracić tak znakomitego klienta, gdy tak mało jeszcze należało się od niego.

Połączywszy razem wszystkie pieniądze którémi mieszkańcy Accroches rozporządzać mogli, zebranoby może czwartą część jego wartości, a według pani Toulousse, i to jeszcze było bardzo wątpliwem.

Rovelou rozstrzygnął sprawę przyjmując dług cały na swój rachunek, i Robert mógł wreszcie wyjść z honorem, z domu balwierza, obsypany życzeniami szczęśliwej podróży, i równie szczęśliwego powrotu kiedyś do Accroches.

— Tak, moi przyjaciele, przyjadę jeszcze do Accroches! odpowiedział z żywością.

W parę minut później stanął przed domkiem matki Rovelou.

— Wiedziałam dobrze, zawołała, że nie odjedzie nie pożegnawszy się raz jeszcze ze mną! Młodzież bogobojna przywiązuje wielką cenę do błogosławieństwa udzielonego drżącą od starości ręką, a przeciwnie pozbawiona wiary i moralności nie dba o dobre życzenia starców.

Ta wieśniaczka, obdarzona tylko tak zwanym, chłopskim rozumem, której twarz poorana zmarszczkami tak błogi wyrażała spokój, wydawała się teraz panu de Madiran jeszcze godniejszą poszanowania. Widział w niej tkliwą, czcigodną opiekunkę istoty opuszczonej, i osieroconej więcej jeszcze nad te których matki już spoczywają w mogile. Pragnąłby wynurzyć jej za to swoją wdzięczność, wyrazić współczucie, ale jakież miał do tego prawo? On wczoraj jeszcze całkiem tu nieznany!...

Przyjął z uszanowaniem błogosławieństwo sędziwej wieśniaczki, i obiecał że przyjedzie znów kiedyś aby je odebrać powtórnie. Następnie wrócił śpiesznie do kapitana który rozmawiał z Ludwiką i Emeliną.

Pożegnanie było krótkie. Jakiś dziwny ciężar przytłaczał te kochające serca zbliżone do siebie zrządzeniem Opatrzności. Robert był dla nich wybawicielem Ludwiki, przyjacielem kapitana, a urodzeniem równym Emelinie, dla której, z powodu dziwacznego, co najmniej położenia w jakim postawiła ją lekkomyślność matki, młody człowiek należący do tegoż samego co ona świata, był niezwykłem zjawiskiem.

Robert przyrzekł chętnie że przybędzie znów do Accroches. Oddalając się z tego gościnnego zakątka, czuł że prędzej czy później, zapragnie odświeżyć dobroczynne wrażenia których tu doznawał.

Bezwątpienia, wiele wśród tych skał przecierpiał ale tu także został uleczonym ze swego zaślepienia, a czyż mogło spotkać go większe nad to dobrodziejstwo? jakże już polubił tę małą ubogą wioseczkę do której doprowadziła go ręka Opatrzności!

Robert pożegnał Ludwikę serdecznem uściśnieniem ręki, Emelinę zaś ukłonem, w którym starał się okazać cały swój dla niej szacunek i współczucie przepełniające jego młode i szlachetne serce.

Wsiedli w czółno i kapitan zaczął robić wiosłem. Długo jeszcze Robert zamieniał znaki pożegnania, z pozostałemi na brzegu, potem błękitna sukienka poruszana wiatrzykiem zaczęła się oddalać drogą, pnącą się ku wiosce. i to znikała, to znów ukazywała się coraz wyżej między rozsianemi wśród skał domkami.

Emelina zatrzymała się przy odłamie skały; na którym Robert usiadł wczoraj dla wysłuchania opowieści Ludwiki, i smętnem spojrzeniem swych nieporównanie pięknych oczu, ścigała połyskujące od słońca fale rzeki.

Jakimże sposobem matka, patrząc na te zachwycające oczy, mogła nie poznać, pomimo zeszpeconej ospą twarzy, że widzi przed sobą swe dziecię?

Z tej wysokości czółno przedstawiało się Emelinie jak czarny punkcik sunący po wodzie; patrzącemu z czółna, niebieska sukienka wydawała się jakby jasny punkcik unoszący się w powietrzu.

Od strony skał uleciało ku rzece westchnienie; kto mógłby zaręczyć że drugie z czółna nie uniosło się ku skałom?

Czółno popychane silnemi uderzeniami wiosła sunęło szybko ku przystankowi, a kapitan robiąc wiosłami nucił machinalnie jakąś rybacką piosenkę, nie tak jednak piękną jak kreolska ballada, która tak silne wrażenie zrobiła na Robercie.

Po niejakim czasie odezwał się do pana de Madiran:

— Siedzisz panie Robercie na tem samem miejscu które zwykle zajmuje hrabina d'Anglejean, kiedy odwiedza córkę... co mówię między nami, rzadko się zdarza!... Potrzeba dla niej rozkładać dywany, poduszki, a jeżeli czółno zakołysze się trochę, zaczyna krzyczeć przestraszona: „Mój dobry Rovelou!... wpadniemy w wodę!... mój drogi kapitanie!... odpowiadasz za moje życie!“ Oj! te piękne kobiety! jakie to rozpieszczone i grymaśne!... A my pomimo to dajemy się obałamucić, do tysiąca miliardów głów murzyńskich!... i kiedy patrząc na tę jej przestraszoną minę, czynię co tylko można aby ją uspokoić, przemawiam do niej o ile mogę najsłodszym głosem, wynajduję różne sposoby... Jak ona też musi w duszy śmiać się ze mnie... Doprawdy, wielcy z nas mazgaje w stosunkach z temi laleczkami!... które są bez porównawnia od nas silniejsze... które mogą tańczyć przez osiem nocy z rzędu... które umieją niekochać nikogo, nawet własnej córki!... Ale cóż czynić! zdaje się że tak było od początku świata... a więc nie ma w tem nic nowego.

Na zakończenie kapitan puścił gęsty kłąb dymu ze swej krótkiej fajeczki, a Robert powtórzył mimowolnie, z głębokiem przekonaniem:

— Masz słuszność kapitanie, jesteśmy mazgajami, prawdziwemi mazgajami.

Zbliżali się do przystani. W powietrzu rozległ się odgłos dzwonka.

— Oto i mój dzielny statek, zawołał wesoło Rovelou, wyskakując na brzeg przystani. Do tysiąca miliardów głów murzyńskich!... zawsze z prawdziwem zadowoleniem wstępuję na jego pokład.

— W takim razie tu się pożegnamy.

— Więc już stanowczo wyrzekasz się panie Robercie podróży do Royan?

— Tak kapitanie.

— Za dziesięć minut *Véloce* płynący do Bordeaux, zatrzyma się w tej przystani, jeżeli więc...

— Bądź zdrów, kochany Rovelou, będę korzystał z obecności *Veloce'a*.

Kapitan wsiadł na swój śliczny bieluchny statek: zastępca zdał mu z uszanowaniem dowództwo załoga wystąpiła na jego przyjęcie, a pasażerowie byli widocznie zadowolnieni z jego przybycia: tak dobrze już był wszystkim znany w tej okolicy!

Zaledwie statek kapitana odpłynął w dół rzeki, ukazał się Veloce posuwający się w przeciwnym kierunku. Ruchy jego nie usprawiedliwiały nadanego mu nazwiska, ale też płynął pod wodę, a prócz tego marynarze nie lubią się śpieszyć.

Robert de Madiran niecierpliwił się z początku czekając na niego, choć nie umiał sobie zdać sprawy dla czego było mu tak pilno odjechać, potem się uspokoił i wsiadł na tak leniwo posuwający się statek, z rezygnacyą muzułmanina, wierzącego w fatalizm.

Zostawał tak moralnie jak fizycznie pod wpływem nieprzewidzianych okoliczności, różnorodnych uczuć i wrażeń. Gdzie jedzie?... Czy był pewnym że sam wie o tem?... Dla czego śpieszno mu było wrócić do domu ojca?... Czy tylko dla usłyszenia wyrzutów na które zasłużył swoją nieroztropnością?... Po cóż miał się na nie narażać dobrowolnie?... Czy to co przecierpiał nie było już dla niego dostateczną nadal nauką?... Dla czego odjeżdża?... Ażeby nie spotkać

się już z Cezaryną d'Anglejean, kobietą fałszywą, zwodniczą i bez serca... aby nie słyszeć już jej nazwiska... uciec od wszystkiego coby ją przypominać mogło... zagłuszyć własne wspomnienia.

Trzeba jednak przyznać, że w skutek wiadomości zaczerpniętych w Accroches, wspomnienie Cezaryny utraciło dla niego swój szkodliwy powab. Przypominała mu teraz owe statuetki upowszechnione w Hiszpanii, które tam przybierają w jaskrawe i kosztowne szaty, a nawet w prawdziwe drogie kamienie. Po zdjęciu bogatych materyi i klejnotów pokaże się prosta lalka nie zasługująca nawet na spojrzenie. Jego miłość własna cierpiała teraz więcej niż jego serce, z powodu tej fatalnej pomyłki, ale wiadomo że podobne rany są właśnie najdotkliwsze dla silniejszej połowy rodu ludzkiego.

Robert zatrzymał się w Bordeaux, tylko na czas niezbędny do spłacenia rachunków; pożegnał kilku młodych ludzi, z któremi w bliższych zostawał stosunkach, i nie zwlekając dłużej, udał się koleją do Paryża.

IX.

Pan de Madiran ojciec, zajmował w zimie wygodny pałacyk, przy ulicy Notre Dame-des-Champs, odznaczającej się tem, że jakkolwiek znajduje się wśród Paryża, można na niej jeszcze znaleźć pełne cieniu i zieloności ogródki.

Nie było to mieszkanie zbytkowne, ani też w guście nowoczesnym, ale ten pałacyk otoczony z jednej strony sporym dziedzińcem, z drugiej ogrodem, zbudowany z czerwonej cegły, i opleciony bluszczem, z peronem podwyższonym, na który wchodziło się po szerokich marmurowych schodach z żelaznemi poręczami ozdobionemi herbem rodziny Madiran, wyglądał skromnie, ale arystokratycznie. Było to zresztą ulubione mieszkanie pana de Madiran które opuszczał zawsze z żalem, wyjeżdżając co wiosna do swych dóbr w Szampanii.

W tej właśnie epoce, ogród przy ulicy Notre-Dame des-Champs pokrywał się świeżą zielonością, i rozsiewał do koła woń balsamiczną, jak gdyby chciał zachęcić swego właściciela aby go nie opuszczał. Próżne usiłowania; właściciel odjeżdżał z westchnieniem wprawdzie, ale zawsze odjeżdżał.

Takiemu losowi ulegają wszystkie prywatne ogrody w Paryżu. Kiedy ich właściciele używają wszelkich przyjemności wiejskich w licznem gronie przyjaciół i znajomych; kiedy przechadzki publiczne zapełniają strojne tłumy, one, zdane na łaskę niedbałych odźwiernych stają się pastwą kurzu, niszczeją z powodu niedostatecznego polewania.

W tym roku atak podagry nie dozwolił jeszcze panu de Madiran wyjechać na wieś; zyskał na tem tyle przynajmniej, że mógł po raz pierwszy ocenić całą piękność swego paryzkiego mieszkania.

Zdawało mu się że tu róże są wonniejsze niż w Madiran, i że ptaszki śpiewają milej jak w Szampanii. Mówił też nie raz żartobliwie, że trzeba to przypisać sąsiedztwu ogrodu Luksemburgskiego, w którym grywa codzień wojskowa muzyka, tym sposobem wróble bywające tak często na koncertach nabierają lepszego pojęcia o muzyce.

Był to człowiek bardzo energiczny choć delikatnego zdrowia, posiadał umysł nader bystry i pociągającą powierzchowność. Siedemdziesiąt lat życia nie ostudziło jego serca miłującego wszystko co wzniosłe i szlachetne. Białe jego włosy, jeszcze gęste i miękkie ocieniały kiedyś czoło pełne świa-tłych i najwznioślejszych myśli; teraz pokrywały głowę mędrca.

Niespodziewany przyjazd Roberta sprawił mu żywą radość podwojoną zadowolnieniem że jego rady nie były próżnemi. Widocznie jego uwagi sprawiły tak silne na Robercie wrażenie, że odstąpił od nierozsądnego zamiaru, na który on tylko z niechęcią mógłby zezwolić, i teraz przybywa aby obok niego zapomnieć do reszty o swych marzeniach.

W pierwszej zaraz rozmowie z synem utracił to błogie przekonanie. Jego list nie zdołał powstrzymać Roberta od formalnego oświadczenia się hrabinie i wolność swą był winien nie własnej swej woli ale odmownej odpowiedzi pani d'Anglejean.

— Więc zostałeś odrzuconym, Robercie?

— Najformalniej, mój ojcze.

— I cierpisz bardzo z tego powodu, mój biedny synu.

— Cieszę się przeciwnie... jak człowiek który uniknął szczęśliwie najstraszniejszego niebezpieczeństwa.

— Ho! ho!... Czyby pod nęcącą postacią zachwycającej hrabiny ukrywała się wilczyca?

— Gorzej jeszcze bo kobieta fałszywa, nęcąca sztucznemi pozorami.

— Straszna to rzecz!... Ale jest ich tyle!...

— Zła matka.

— To już bardzo ważne!... Jakto! nie kocha tego niemowlęcia... czy tej małej córeczki!... nie wiem jak się wyrazić, bo nie pisałeś mi o tem wyraźnie.

— Jakże mogłem pisać?... Nie widziałem nigdy córki hrabiny i nigdy o niej nie mówiono.

— Może to jaki mały potwór?

— Przepyszne oczy w bladej twarzyczce... wielkie, prześliczne włosy, i czoło jakby stworzone do korony!

— Do licha!... może więc strona moralna?...

— Wysokie zdolności umysłowe!... wrodzona dystynkcya i poczucie wszelkiego piękna... serce dobre, szlachetne, tkliwe, zdolne do poświęceń...

— Czy być może!... więc to jakieś cudowne dziecko.

— To dziecko ma lat osmnaście, mój ojcze.

— Co mówisz?

— Że panna Emelina d'Anglejean, córka hrabiny Cezaryny, jest ośmnastoletnią panienką, której przymioty wywarły na mnie silne wrażenie.

— Widzę to dobrze.

— Dla tego też nie mogę powstrzymać się od najżywszego oburzenia skoro pomyślę...

— Nie jest to oburzenie,. ale mniejsza o to... Opowiadasz mi tak nieprawdopodobne rzeczy!... Więc ta prześliczna Cezaryna, którą chciałeś uczynić moją synową, ma już tak słuszną córkę?

— Ukrywała ją tak starannie?

— Bo też to nieznośna rzecz te małe istotki które rosną... rosną... aż w końcu zdobne kwiatem młodości, zdają się mówić: „Mama zbliża się już do czterdziestki."

— Żartuj, mój ojcze ze mnie, żartuj, będzie to zawsze niczem w porównaniu z tem jak ja sam wyśmiewam się z siebie odkąd poznałem moje zaślepienie.

— Tak, bo hrabina musi być bliżką tej fatalnej liczby, o której samo wspomnienie przejmuje dreszczem zalotne kobiety.

— A posiada tak dziwny dar ujmowania sobie przynajmniej lat piętnastu, że nie domyślałem się nawet tego.

— Bo patrzyłeś już na nią uprzedzonym wzrokiem. Ja przez moje okulary byłbym z pewnością dostrzegł jakąś zmarszczkę na tej pięknej twarzy, której pochwałami zapełniałeś zawsze wszystkie cztery strony pisanych do mnie listów.

— Nie, mój ojcze, nie zdołałbyś nie dostrzedz, ta kobieta umie wyłamać się z pod wszelkich praw natury.

— Widzę przynajmniej że jeżeli prawda była dla ciebie piorunującą to uzdrowienie nastąpiło równie szybko.

— Nie wiem tego... nie badam sam siebie... zdaje mi się że nie umiałbym jeszcze odpowiedzieć na to, Tego tylko jestem pewny że ubolewam z całej duszy nad niewinną ofiarą próżności hrabiny.

— O! tak, i mnie także ta biedna ofiara zdaje się godniejszą zajęcia niż jej matka. Czy sądzisz się powołanym do jej wyzwolenia?

— Bynajmniej; widzę w tem wszystkiem tylko działanie Opatrzności, usiłującej otworzyć mi oczy.

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć jakich środków użyła Opatrzność aby dojść do celu, którego osiągnąć nie mogłem?

Robert spełnił chętnie życzenie ojca i opowiedział mu wszystko od niefortunnego oświadczenia się wbrew radom ojca, aż do spotkania się w Accroches z panną d'Anglejean. Nie pominął żadnej z wiadomości udzielonych mu przez Ludwikę, ani też dowodów lekkomyślności tej zimnej i płochej kobiety, która nie umiała być matką, i albo trzymała córkę prawie w zamknięciu, albo wysyłała ją gdzieś daleko od siebie.

Całe postępowanie jej pod tym względem było nielogicznem, pełnem wyskoków. To przywoływała do siebie córkę, to znów oddalała ją nagle. To groziła umieszczeniem na pensyi we Włoszech, to pozwalała zamieszkać na wsi w pobliżu Bordeaux. Jeżeli na chwilkę okazała się czułszą dla córki, to potem całe lata zapominała o niej. Narażała się na utratę uszanowania córki, szacunku przyjaciół, poważania w świecie, wiedziała o tem, a pomimo to nie troszcząc się o nie tańczyła nad brzegiem przepaści. Wszystko to dowodziło że jeżeli strona moralna hrabiny była słabo rozwinięta, to zdrowego rozsądku nie miała wcale.

Nie dość okrutna aby mogła zamknąć Emelinę w jakim klasztorze, nie dość rozumna aby ją mieć obok siebie, hrabina kręciła się w koło w labiryncie bez wyjścia, i można było uważać prawie za cud jakiś, że ta córka dorosła, tak jej zawadzająca i nie kochana, nie zdradziła dotąd w obec świata swego istnienia.

Pan de Madiran słuchał uważnie tego długiego opowiadania, nie przerywając go żadną ironiczną uwagą, żadnym uszczypliwym żarcikiem, co uczyniłby zapewnie gdyby to nie dotyczyło tak blizko jogo syna; tego ukochanego syna, który o mało co nie stał się dobrowolną ofiarą nieszczęśliwego a zarazem śmiesznego związku.

— Mój synu, rzekł gdy Robert przestał mówić, jeden ustęp z twego opowiadania tłomaczy mi wszystko co tobie wydaje się niezrozumiałem, potwornem lub szalonem w postępowaniu pani d'Anglejean.

— Któryż to mój ojcze?

— Ten z którego się dowiedziałem że matka pozbawiona wiary, chciała jej także pozbawić córkę. Kobieta bez wiary w Boga, to wyjaśnia wszystko Gdzie bez tej wiary znajdzie kobieta światło i wskazówkę postępowania?... Co jej wskaże niewzruszone zasady?... co ją natchnie nadzieją wiecznej nagrody?... co uświęca jej ofiary i poświęcenia?... co zachęci do spełnienia ciężkich często obowiązków? Cezaryna więcej jeszcze zasługuje na politowanie

niżeli na naganę. Wychowana bez dobroczynnego wpływu religii, korząca się tylko przed własną pięknością, chciwa zabaw i hołdów, i w nich jedynie widząca szczęście, nie spodziewająca się już niczego po za grobem: a z natury lekkomyślna, i pragnąca ciągle nowych hołdów, hrabina d'Anglejean, musiała widzieć z początku tylko niepotrzebny kłopot, a następnie niemiły ciężar w tej córce, która wzrastając przypominała jej ciągle ubiegające i dla niej lata, a z niemi jej młodość. Dla kobiety bez wiary każdy obowiązek jest ciężkim, przechodzącym siły, a w duszy swej nie może znaleźć nic takiego coby jej ten ciężar lżejszym uczyniło. Być młodą, piękną, uwielbianą, oto jedyny cel jej życia. Mówimy: „Biedna Emelina!...“ Powiedzmy także: „Biedna Cezaryna!“

Te słowa pełne życia i prawdy, wyjaśniły Robertowi wiele rzeczy niezrozumiałych przedtem dla niego i uspokoiły go znacznie. Czemuż nie zawierzył doświadczeniu tego dobrego ojca, który odgadł tę przepaść ku której on dążył tak niebacznie? Jakże wielu uniknąłby przez to przykrości drobnych upokorzeń! Teraz przynajmniej, nauczony doświadczeniem, podda się z głębokiem zaufaniem pod jego rozumny i pobłażliwy kierunek.

Nazajutrz, pan de Madiran, wrócił znów do tego przedmiotu, chcąc uwiadomić syna o pewnych ważnych szczegółach.

— Przypomniałem sobie dziś w nocy,—w moim wieku nie tak łatwo zasnąć, — pewne okoliczności które mogą być dla ciebie bardzo zajmujące.

— Dla mnie?

— Tak, dla ciebie.

— A więc zechciej mi je opowiedzieć, mój ojcze.

— W młodości mojej bywałem bardzo często u baronowej d'Astiville, wdowy, osoby nie młodej ale posiadającej dar zgromadzania w swym salonie ludzi obdarzonych wyższym umysłem. Ja byłem jeszcze wówczas nic nie znaczącą osobistością, jak każdy młody człowiek który zaledwie ukończył szkoły; pomimo to byłem częstym gościem baronowej lubiącej mnie bardzo jako towarzysza nauk i najlepszego przyjaciela jej siostrzeńca, Wiktora d'Anglejean.

— Wiktora d'Anglejean!

— Słuchaj mnie spokojnie.

— Ale ta tożsamość nazwiska...

—...uderzyła mnie zarówno jak ciebie, kiedy po raz pierwszy wyczytałem w twojem liście nazwisko hrabiny Cezaryny. Zastanów się jednak nad tem, że nie mogłem przypuścić, aby ta piękna, licząca zaledwie dwadzieścia pięć lat wdowa, jak mi to donosiłeś, mogła mieć coś wspólnego z moim przyjacielem Wiktorem, jeszcze o kilka lat starszym odemnie, i dawno już zmarłym.

— Bezwątpienia, ale...

— Ale, to czegośmy się dowiedzieli zmienia bardzo postać rzeczy... Lecz wróćmy do baronowej d'Astiville. Obawiając się skutków żywości uczuć i wrażliwości swego siostrzeńca, powierzyła mi przy nim, nie mu o tem nie mówiąc, obowiązki mentora *in partibus*. Nie dla tego aby można było zarzucić coś jego postępowaniu, bynajmniej, ten kochany d'Anglejean był pod tym względem prawdziwym szlachcicem, pełnym prawości i dbałym o swój honor; tylko niekiedy odzywała się w nim nagle wrząca krew południowa,—pochodził z okolic Tuluzy,—i w tem właśnie leżało niebezpieczeństwo. Pomimo swej powierzchowności światowego człowieka, gotów był wyzwać na pojedynek każdego ktoby go potrącił łokciem w tłoku, albo też zawrzeć niestosowne małżeństwo, gdyby jakiś ładny buziaczek przypadł mu do gustu. Na mnie więc ciężył obowiązek uchronienia go od spotkania z niegrzecznymi lub nieostrożnymi, i odciągania go od pięknych buziaków, jeżeli te nie posiadały odpowiednich warunków na „damy wyższego świata.“

„Wszystko szło dobrze przez kilka lat, następnie wybuchła rewolucya która nas rozłączyła, co bardzo zmartwiło baronowę: „Wiktor popełni z pewnością jakie szaleństwo“ rzekła dowiedziawszy się o jego wyjeździe do Ameryki, spowodowanym niezmiennością jego przekonań politycznych.

„Jeżeli popełnił rzeczywiście szaleństwo, to przynajmniej nie miała sposobności martwić się tem, ale także nie widziała go już więcej. Zgasła trzymając moją rękę, i wymawiając imie ukochanego siostrzeńca. Gdzie on wtenczas przebywał, tego nie wiem, bo z początku bardzo rzadko odbieraliśmy od niego wiadomości, a następnie nie udzielał ich już wcale. Rozeszła się nawet pogłoska że utonął w czasie jakiejś morskiej podróży, później jednak nadszedł od niego list w którym donosił o swem ożenieniu, i znów przestał pisać. Dowiedziałem się nie pamiętam już od kogo, że podróżuje ciągle, i że nie jest szczęśliwym. Potem doszła mnie wiadomość o jego śmierci; mówiono że zginął w pojedynku, i że jego piękna żona nie smuci się tem wcale że została wdową.

„Wszystkie te wiadomości sprawiły mi prawdziwą przykrość, nie obudziły we mnie jednak chęci zasięgnięcia bliższych wiadomości o ostatnich latach życia i powodach śmierci przyjaciela, który tak łatwo zapomniał o mnie, jak niemniej i o nie sympatycznej dla mnie jego wdowie.

„Zerwałem, zresztą bardzo powierzchowne, stosunki z pozostałemi jeszcze krewnemi baronowej d'Astiville, to jest z niemłodą już i bardzo słabowitą panną, która też umarła wkrótce potem, i z oficerem marynarki, który korzystając z urlopu przepędzał niekiedy pare miesięcy u stryjenki. Nosił toż samo co ona nazwisko, miał charakter łagodny i był bardzo miłym człowiekiem, a jednak baronowa nie kochała go tak jak hrabiego d'Anglejean, i kto wie czy nie zawdzięcza jedynie obojętności Wiktora, nie dającego o sobie żadnej wiadomości, że podzieliła ich równo swym majątkiem. Następnie obowiązki służby zatrzymały go tak długo zdala od Paryża, że straciłem go zupełnie z oczu.

„Sam przyznać musisz, Robercie, że wszystko tak się złożyło, aby wspomnienie o dawnym moim przyjacielu zatarło się początkowo w mej pamięci. Teraz dopiero opowiadanie twoje, i zgodność niektórych dat nasunęło mi myśl, że ta wdówka wiecznie młoda, piękna i zalotna, może być wdową po Wiktorze d'Anglejean.

— W takim razie, zawołał radośnie Robert, mógłbyś kochany ojcze, korzystając z nieulegającego przedawnieniu tytułu przyjaciela jej ojca, wynaleźć jakiś sposób aby stać się użytecznym pannie d'Anglejean.

— Myślałem już o tem.

— O! jakaż to myśl wyborna! Ona jest tak pociągająca łagodna, cierpliwa!

Pan de Madiran spojrzał na syna z rozczuleniem połączonem z trochą złośliwości.

— Zapaleńcze! rzekł tylko, wzruszając pobłażliwie ramionami.

X.

Pan de Madiran rozpoczął poszukiwania, i przy pomocy byłego notaryusza zmarłej baronowej d'Astiville, zebrał wkrótce wiele wiadomości o dalszych losach hrabiego d'Anglejean.

Dowiedział się, że nierozważny jak zawsze, ożenił się w dość późniejszym już wieku, z ubogą, kapryśną, ale młodziutką i bardzo piękną kreolką, dla której nawet osiadł w koloniach i nabył tam rozległe posiadłości.

Wiktor d'Anglejean miał już blizko pięćdziesiąt lat, i ten niewłaściwy związek przyniósł mu więcej niepokoju niż szczęścia.

Nie długo także cieszył się swem dziecięciem, bo córeczka jego była jeszcze w kolebce, kiedy zginął w pojedynku, pomimo że słuszność była po jego stronie.

Pozostała wdowa rozporządzająca znacznemi dochodami pozostałego po nim majątku, podróżowała ciągle, i gdziekolwiek się zatrzymała olśniewała wszystkich swą pięknością, i otaczającym ją zbytkiem. W Paryżu bywała rzadko, pomimo że posiadała pałac przy przedmieściu Saint-Germain, i kilka domów przynoszących jej znaczne dochody.

O córce hrabiego notaryusz nie wiele umiał powiedzieć, słyszał tylko że jest słabowita, i że przebywa w południowej Francyi, w jakiejś miejscowości której powietrze bardzo jej służy. Ponieważ nie widywano jej wcale, krewni przebywający w Paryżu wnoszą że jej charakter i umysłowe zdolności nie odpowiadają życzeniom matki.

Krewnymi o których wspominał notaryusz, byli baron d'Astiville dawny oficer marynarki, jego żona i syn jedynak, którzy jednak zostawali w dość zimnych stosunkach z panią d'Anglejean.

Na tem ograniczały się wiadomości notaryusza.

Pan de Madiran wysłuchał z największem zajęciem tych szczegółów, w których przeszłość łączyła się tak ściśle z teraźniejszością, i postanowił wskrzesić pierwszą, a wpłynąć na drugą, o ile to będzie w jego możności.

Nie tylko Robert cieszył się temi jego zamiarami; on sam obmyślał z przyjemnością plany zbliżenia się do hrabiny i barona d'Astiville; chciałby jak najprędzej rozpocząć walkę, ale niepomyślny zbieg okoliczności, stanął mu na przeszkodzie.

Hrabina d'Anglejean pojechała do Szwajcaryi, a następnie miała zwiedzić Belgiję. Baron d'Astiville z rodziną udał się do swych dóbr w Berry, a zresztą i pan de Madiran nie mógł już dłużej zwlekać wyjazdu do swej posiadłości w Szampanii.

Robert musiał się zgodzić na to przymusowe oczekiwanie, a jednak wieś nie mająca dla niego nigdy wiele powabu, przedstawiła mu się teraz jeszcze w mniej korzystnem świetle. W tak żywej pamięci zachował piękniejsze, więcej ożywione okolice; wioskę rozrzuconą wśród skał, opasaną wstęgą wody, że równiny Szampanii, posiadające jednak właściwą sobie piękność, nużyły go zbytnią jednostajnością.

Napisał list do kapitana Rovelou. Wypadało przecie zapytać o zdrowie tej zacnej Ludwiki którą wyratował z rzeki... jej sędziwej matki która pobłogosławiła go tak szczerze... no! także i tej młodej pustelnicy, dla której skały w Accroches tworzą tło tak poetyczne.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 29.

N. 1. Ubranie spacerowe ze stanikiem z baskiną i tuniką.

Model ubrania odrobiony był z chustek z kolorowemi w drobne paski szlakami, których fabryki dostarczają w różnych gatunkach, tak batystowych jak cienkich wełnianych i fularowych. Obiedwie 35 cent. szerokie falbany na spódnicy, zakończone są szlakami, któremi obszywa się także gładko tunikę i baskinę stanika; w ten ostatni wstawione jest z przodu przemarszczane, bawełnowo ścięte ubranie, przepinane patkami zapinanemi na guziki, które można dać także gładkie zeszyte ze szlaków skośnie schodzących się w środku, jak to ma miejsce na pleckach do ryc. 14. Na ryc. 1 i 14 dajemy dwa rodzaje kołnierzy i rękawów, te ostatnie całe są obcisłe a przy ręce tak wązkie, żeby tylko ręka przejść mogła. Model i miary tuniki dajemy na ryc. 32 w N. 30; przody litera *a* są w górze sfałdowane i około 16 cent. założone jeden na drugi z boków do 56 centym. sfałdowane. Bryt tylny którego połowę widzimy pod literą *d* fałduje się z boków do 81 cent. zeszywa z przodami. Spacerowe ubranie na ryc. 1. dopełnia parasolik odpowiedni i kapelusz takąż chustką ubrany.

N. 2. Ubranie ranne.

Szlafroczek luźną formą princesse z fałdą Watteau, na modelu odrobiony był z czarnego jedwabnego repsu, a ubrany jedwabną koronką złotego koloru i atłasem vieil-or, z którego dane jest 7 cent. szerokie plisowanie, wyglądające z przodu i z boków z pod wyciętego w zęby czarnego, 19 cent. szerokiego, a przy tronie z pod wązkiego plisowania. Przy zapięciu przodów dane plisy z takiegoż atłasu pokryte wywiniętą koronką, mające w górze 4, u dołu 10 cent. szerokości. Kokardy ze wstążki w atłasie. Do przewiązania w pasie gruby sznur jedwabny z okuciem złotem.

N. 3—4. Koronki robotą szydełkową.

Podług podanych próbek można robić koronkę białą, czarną, szarą lub kolorową, służącą mogącą do fartuszków, parasolików, sukien lub bielizny, dobierając odpowiednio do celu ząbki z plecionki bawełnianej lub jedwabnej i kordonek bawełniany, nici lub jedwab.

N. 5. Żabot ze wstążką w jednym kolorze.

Najdłuższy z trzech końców z żółtawej jedwabnej gazy ma 12 cent. długości a 50 szerokości, średni 9 centym. długości a 58 cent. szerokości, najmniejszy 5 długości a 50 szerokości. Wszystkie obszyte są żółtawą, 8 cent. szeroką koronką, w głębokie fałdy splisowane i w górze złożone jednym węzłem ze wstążki w atłasie 6 cent. szerokiej, z której pukle mają 10 i 13, a koniec 17 cent. długości.

N. 6. Żabot ze wstążką w rzucik.

Składa się z jednego pukla i dwóch skośnych końców z gazy jedwabnej blado lila. Pukiel miał 36 cent. szerokości a 6 wysokości, końce oprócz koronki żółtawej 7 cent. szerokiej 11 długości a 36 szerokości. Kokardy ze wstążki w rzucik 6 cent. szerokiej.

N. 8—9. Torebka ręczna ozdobiona haftem i robotą wiązaną (macramé).

Fason torebki stanowi kawałek tektury 50 cent. długi, w środku 32 cent. szeroki, ku brzegom do 24 cent. zwężony. Tekturę z wierzchu pokrywa się płótnem écru, na którem haftuje się poprzednio jedwabiem kolorowym; deseń widoczny na ryc. 8. Środek torebki zdobi pas roboty macramé odrobiony z kordonku jedwabnego lub nicianego, podług wzoru ryc. 9, pod którem daje się podszewkę z kolorowej materyi. Zwierzchnie pokrycie z brzegów zawija się na 1 cent. od spodu i przyszywa się do niego podszewkę z kolorowej satynki; pomiędzy wierzch i podszewkę wszywa się z boków suflety, mające 14 cent. szerokości a 23 długości, w górze na elastykę ściągane, u dołu zaokrąglone, od spodu satynką podszyte. Z takiej materyi jak suflety, dodaje się w górze woreczek 25 cent. długi, mający 76 cent. obwodu, satynką podszyty i ściągany na wstążki lub sznury jedwabne. Uszy 3 cent. szerokie a 30 długie mogą być robotą macramé podłożone atłasem i podszyte płótnem, albo haftowane na płótnie z jedwabną podszewką.

N. 10—11. Mitenka krótka jedwabna. Z torsady robionej na widełkach, spajanej łańcuszkiem szydełkowym.

Do roboty używa się nie zbyt grubego jedwabiu czarnego lub kolorowego; ryc. 11 daje próbkę roboty naturalnej wielkości. Na mitenkę trzeba 7 pasów liczących wzdłuż 17 węzłów; na palec trzeba 3 pasy po 5 węzłów długie. Palec wrabia się przy spajaniu rękawiczki ząbkami szydełkowemi, zaczynając przy piątym węźle od dołu. Górny brzeg palca i mitenki obrabia się czterema rzędami ząbków szydełkowych, a dolny 8-iu rzędami, dając na ząbek 5 o. powietrznych. Elastyka ozdobiona na zeszyciu kokardą z wstążeczki, obciska mitenkę.

N. 12—13. Mitenka długa. Robota na drutach z jedwabiu lub szarego nicianego kordonku.



N. 1. Ubranie ze stanikiem z baskiną i tuniką. Plecy na ryc. 14. Zmniejszony model tuniki ryc. 32 w N-rze 30. N. 2. Szlafrok ranny z fałdą Watteau.

Rękawiczkę robi się jak pończochę w około gładko, zacząwszy od dołu mniej więcej na o. 40, a deseń ażurowy otrzymuje się następnie przez spuszczenie w całej robocie co drugie oczko, jak to wskazuje próbka ryc. 13. Odrobiwszy 110 razy, zaczyna się duży palec, na którego na drut osobny bierze się o. 18, a drugie 18 zaczyna się na nowo. Obrobiwszy palec 15 razy, nabiera się na nowo przybrane oczy na drut z drugiej strony i obrabia rękawiczkę w około 15 razy; po tem spuszcza się co drugie oczko, obrabia dla mocy brzegi mitenki szydełkiem, o. ści. i zdobi ząbkami szydełkowemi. Wierzch mitenki wyszywa się ściegiem krzyżowanym.

N. 15 i 17 w N-rze 30 Tygodnika Mód. **Ubranie** ze stanikiem gorsecikowym.

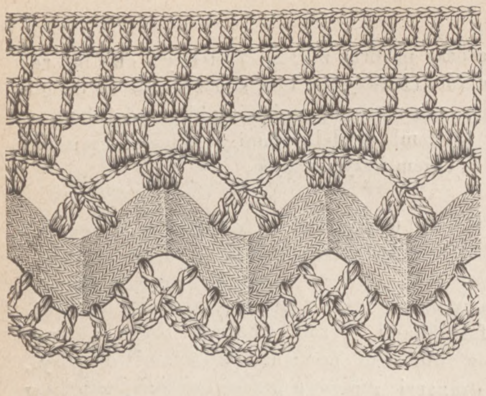
Dół spódnicy obszyty jest dwoma plisowaniami 10 cent. szerokiemi falbankami, przód i boczne bryty ułożone w kontrafałdy widoczne pomiędzy częściami draperyi. Górną część draperyi z przodu przemarszczoną, z boków sfałdowaną, w górze mającą zaszewki dopasowane do figury, układa się z brytu 60 cent., dolną z 47 cent. szerokiego; boki podchodzą pod tylny bryt prosty, z jednej strony krócej, z drugiej dłużej podpięty. Stanik z bawełnową baskiną a gorsecikowem górnem wycięciem przodów, dopełnia rodzaj szmizetki przemarszczanej, 24 cent. długiej. Plisowania przy wykończeniu pachy mają 4, przy tylnym brycie 6 cent. szerokości. Model odrobiony był z pięknego, krepowanego, bawełnianego materyału, zwanego krepą Jeddo, lub Madapolama; falbanki 10 cent. i szlaczki 5—6 cent. szerokie, haftowane były w maszynie jedwabiem takiegoż koloru do cieniu. Wypustki i sznury z okuciem blado niebieskie.

N. 16. Koszyk do robót albo na negliżyki, ozdobiony haftem krzyżowym.

Piękne i sute przyozdobienie zastosować można do koszyków wszelkiej większej miary, dobierając szerszy deseń, albo ten sam robiąc na trzech nitkach, ściegiem smyrneńskim. Model pleciony zbronzowych prętów łoziny, miał 24 cent. długości, 20 szerokości a 15 wysokości. Boki koszyczka otaczał w koło 8 cent. szeroki pas kanwy Aïda, zakończony u dołu siepaną, 4 cent. szeroką frendzlą, ozdobiony haftem krzyżowym, zaczętym 2 cent. od górnego brzegu, a robiony włóczką i filozelą w kolorach oliwkowych i bordo do cieniu. Deseń dopełniają kwasty 10 cent. długie do kanwy przy wyszyciu przyczepiane które zarówno jak i rozetki na przykryciu i w koło koszyczka robią się z włóczki crewel, w tych co haft kolorach, rozetki których wykonanie wskazuje ryc. 23 w N. 30, w którym zobaczyć także ryc. 35. Na przykrywie dodana jest wyślana poduszeczka trzymająca 11 cent. w kwadrat, pokryta haftem krzyżowym na kanwie Aïda. Brzeg poduszeczki i przykrycia otacza szlaczek 3 centym. szeroki podany na ryc. 35 w N. 30. W środek koszyczka dana oliwkowo zielona wełniana podszewka.

N. 20 — 38 i 41. Płaszczyk długi podróżny albo od kurzu. Przód na ryc. 38. Krój na 41.

Dla osób wprawnych w roboty model i miary podane na ryc. 41 będą dostateczne mniej biegłe muszą powyższe miary podług podawanych w poprzedzającej N-rach form płaszczyka dopasować. N. 1 na modelu oznacza przód który się najpierw zeszywa się z plecami tylko na ramionach, N. III przedstawia rękaw którego część spodnia odznaczona jest linijką kropkowaną; gdy zeszyjemy ze sobą części rękawa od *c* do *d* i od *e* do *f* wszywa się takowy do płaszczyka od *d* przez *b* do *g* i od *e* do *h*. Model płaszczyka odrobiony był z szewiotu bronzowego w kratę ponsową; pelerynka złożona z 6-ciu jedna na drugą zachodzących części miała wypustki z grubym sznurkiem ponsowe. Kołnierzyki 12 cent. szerokie obłożenie rękawów z bronzowego repsu.



N. 3. Koronka szydełkowa z okrągłemi zębami z plecionki.

N. 21 i 39 — 41. Płaszczyk krótki z pelerynkowemi rękawami.

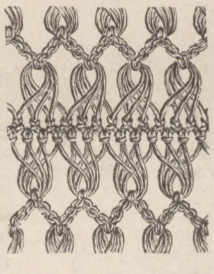
Płaszczyk dogodnie dopełniający ubiór podróżny, może być odrobiony z tego co kostjum materyału, z sukienka szewiotu albo z twedu. Model zrobiony był z gładkiego popielatego sukienka na podszewce wełnianej w kratkę drobną. Całe przyozdobienie stanowi kilka rzędów stębnówki jedwabiem białym danych. Wykrój peleryny przyszywa się na płaszczyku pod wykładanym kołnierzem, przednie zaś brzegi są wolnopuszczone.



N. 5. Żabot z gładką wstążką.

N. 24—25. Serweta do przykrycia stolika. Haft kolorowy na ażurowym materyale zwanym „babbinnet.“

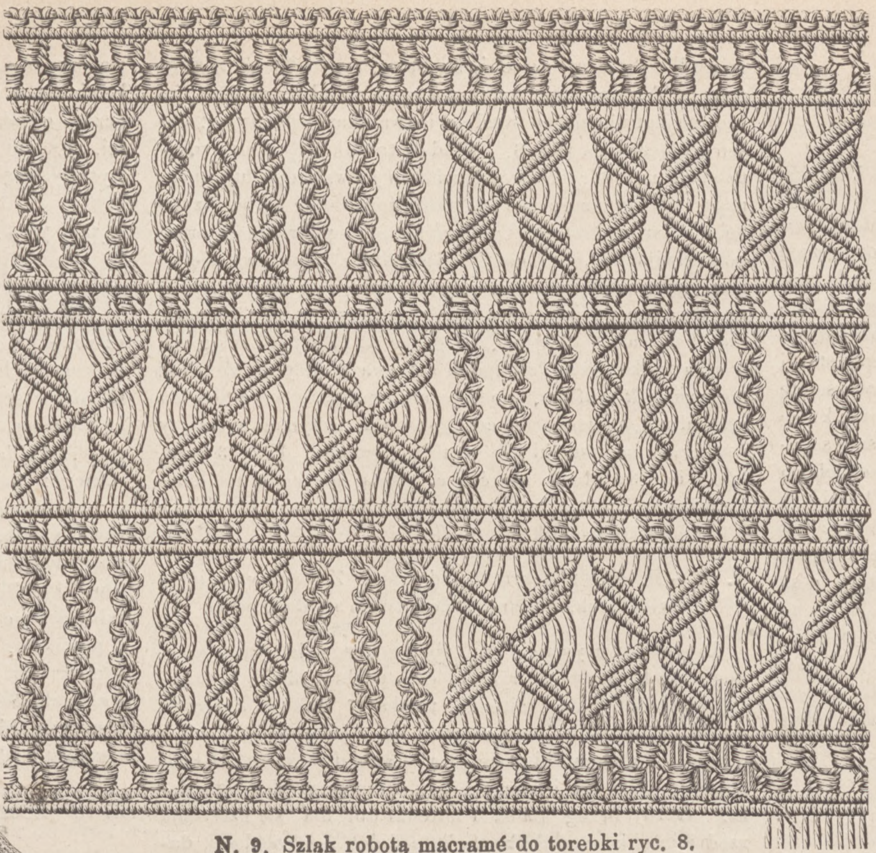
W poprzedzających N-ch podawaliśmy na takim materyale haft prawie zupełnie tło pokrywający. Ryc. 25 przedstawia część serwetki z bobbinet'u, na której deseń odrobiony fabrycznie, wyszyty jest różnokolorową filoselą w bladych cieniach w ten sposób, iż haft zdobi go ale nie pokrywa. Ryc. 24 daje próbkę roboty i materyału w naturalnej wielkości, a na ryc. 25 widzimy część zmniejszoną serwety, która na modelu trzymała 160 cent. w kwadrat. Do ha-



N. 11. Robota na widełkach do ryc. 10. Wielkość naturalna.



N. 14. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką. Przód na ryc. 1. Model tuniki na ryc. 32 w N-rze 30.



N. 9. Szlak robotą macramé do torebki ryc. 8.



N. 7. Szlak haftowany ściegiem gobelinowym i na dwie strony do ryc. 31 i 34.



N. 10. Krótka mitenka z torsad robionych na widełkach i roboty szydełkowej. Próbka torsady na ryc. 11.



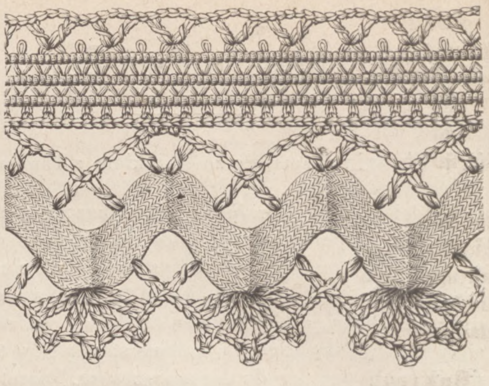
N. 8. Torebka ręczna ozdobiona haftem i robotą macramé. Próbka roboty na ryc. 9.



N. 12. Długa mitenka robiona na drutach. Próbka roboty na ryc. 13.



N. 16. Kosz na negliżyki albo na roboty ozdobiony haftem krzyżykowym.



N. 4. Koronka szydełkowa z zębami z plecionki i torsadką ażurową.

ftu bierze się 3 nitki filozeli, której kolory dobiera się podług gustu; brzegi figur odznacza się zwykle ściegiem łańcuszkowym, linijki ściegiem cierniowym lub krzyżowym, pojedyńcze ściegi środkowe zmieniać można dowolnie.

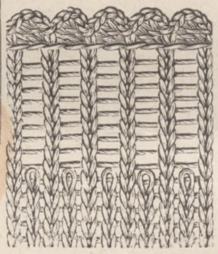
N. 31—33. Ubrania dla panienek lat 9 — 15.

N. 31. Suknia ubrana haftowanemi szlakami.

Odrobiona z płóciennej gazy koloru écru i ozdobiona szlakami haftowanemi ściegiem gobelinowym, na kanwie płóciennej, kolorowemi jedwabiami albo bawełną dobrą do prania. Deseń i próbkę roboty szlaków dajemy na ryc. 7. Tunika z kieszonką na wierzchu, z jednej strony krótko zfałdowana, z drugiej przymarszczona i dłużej spuszczona, układa się z bryta poprzecznie wziętego, a w tyle dodaje się bryt prosty.



N. 6. Żabot w rzucik kolorowy.



N. 13. Próbka roboty na drutach do ryciny 12.

N. 32. Ubranie z długim paletocikiem.

Odrobione być może z każdego lekkiego wełnianego albo bawełnianego materyału. Długi paletocik z przodu kamizelką dopełniony, może być luźny albo wcinany do figury. Garnirunek spódnicy stanowią duże 10 cant. szerokie plisowane falbany i riusza 16 cent. szeroka

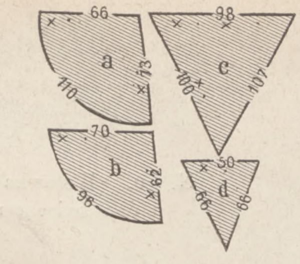


N. 15. Ubranie ze stanikiem z baskiną. Przód na ryc. 17 w N-rze 30.

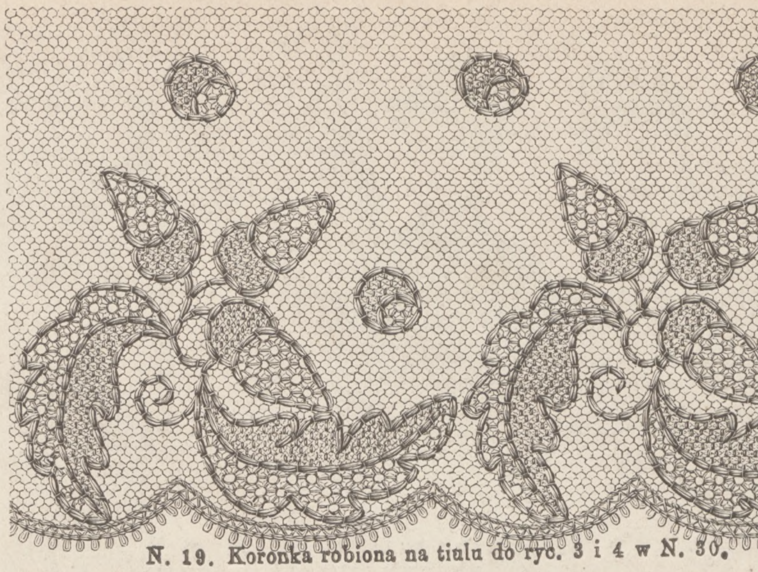
z deseniowego materyału także riusza 8 i 6 cent. szeroka zdobi paltocik.

N. 33. Sukienka z plastronem dla 9-cio letniej dziewczynki.

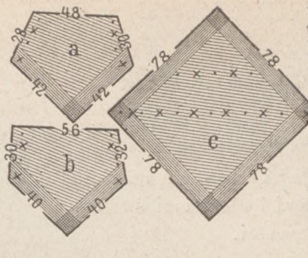
Sukienkę formą princesse, z szarego płótna zdobią 4 cent. pasy szerokie z ponsowego szwajcarskiego kretonu, haftowane ściegiem krzyżowym, bawełną białą. U dołu sukienka oszyta jest napowietrznem, 18 centym. szerokiem plisowaniem; z prawej strony plastronu pod pasem haftowanym urządzone jest zapięcie na kryte haftki.



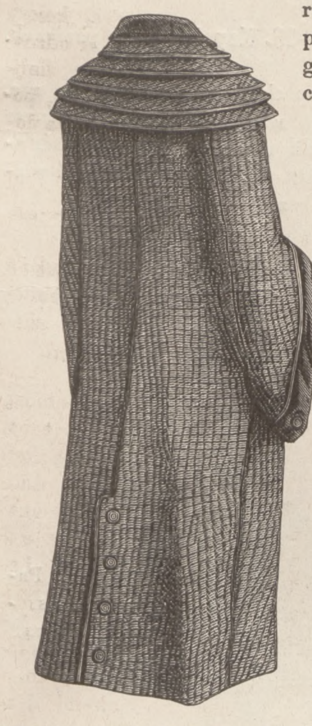
N. 17. Model kroju i miary tuniki do ryc. 21 w N-rze 30.



N. 19. Koronka robiona na tiulu do ryc. 3 i 4 w N. 30.



N. 18. Model kroju i miary tuniki do ryc. 23, oraz do ryciny 20 w N-rze 30.



N. 20. Długi płaszczyk z szerokiemi rękawami. Przód na ryc. 38; model i miary kroju na ryc. 39.

N. 34—35 i ryc. 7. **Dwa** parasoliki.

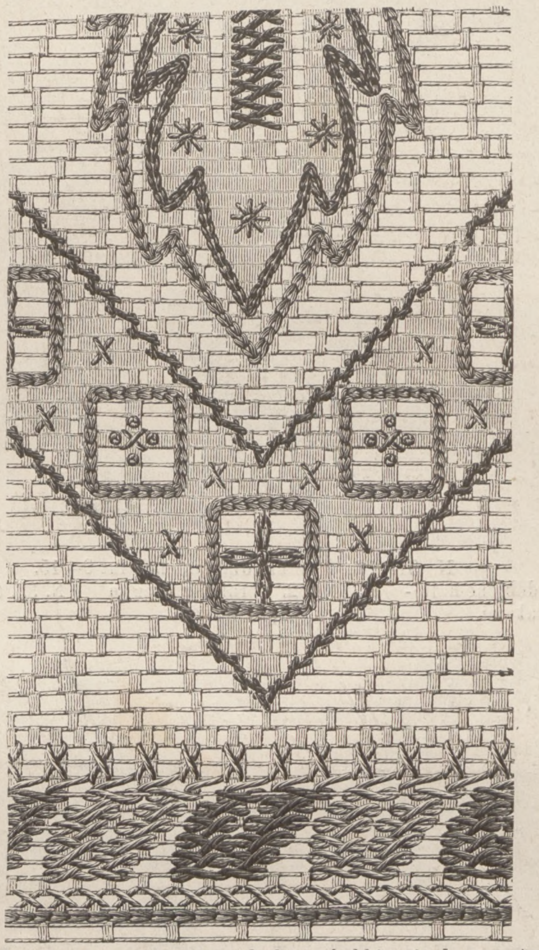
Rycina 34 przedstawia parasolik pokryty nowym rodzajem cienkiego i pięknego płótna koloru écru, przy którym wzdłuż brzegów wrobione są fabrycznie w odstępie 5 cent. pasy kanwy płóciennej, $4^1/_2$ cent. szerokie, na których wyszywa się różnokolorową filozelą, szlak podany na ryc. 7, lub inny podobny. Na ryc. 35 widzimy parasolik czarny atłasowy z fularową podszewką, oszyty 12 cent. szeroką podszewką oszyty 12 cent. szeroką koronką koloru vieil or, ozdobiony w górnym końcu kokardą ze wstążki atłasowej 5 cent. szerokiej, gałązką kwiatów i koronką. Drewniana laska jasnego, naturalnego koloru, ma dolny koniec skośnie ścięty.

N. 36—37. Kapelusz okrągły słomkowy.

Miał rondo dwa razy w odstępie 3 cent. podszyte drucikiem i palcową przemarszczaną materyą. Trzy krótkie i jedno długie białe, pióra strusie i bukiet z róż różno kolorowych bez liści, stanowią sute ubranie, widoczne na rycinie 37.



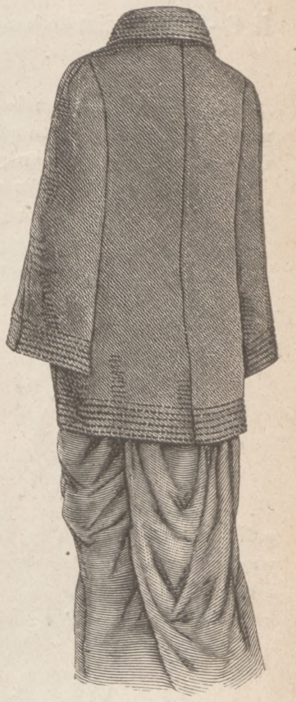
N. 22. Plecy do r. 21 w N. 30.



N. 24. Próbka pospiesznego haftu na bobbinecie do serwety.



N. 23. Tył sukni r. 20 w N. 30.



N. 21. Krótki płaszczyk podróżny. Przód na ryc. 40. Model kroju na rycinie 41.

Opis do N-ru 30.

N. 3. Chusteczka z wykładanym kołnierzem. Krój na arkuszu do N-ru 27 i 28 Tygodnika N. VI, Fig. 22.

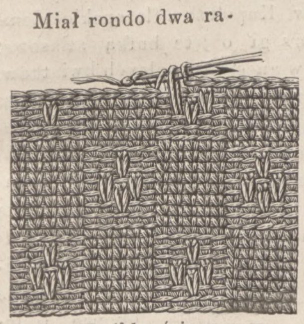
Odrobiona z materyału Surah i koronki 7 centym. szerokiej, żółtawego koloru. Kołnierz kraje się podwójnie podług powyżej wskazanej formy, oszywa koronką, przy górnym brzegu zakłada w fałdy podług znaków, i wszywa szwem odwracanym w pasek muślinowy 3 cent. szeroki. Na suto fałdowane końce lekko przepięte z przodu potrzeba dwóch skośnych śpiczasto u dołu ściętych kawałków po 25 cent szerokich w górze i po 40 cent długich. Ładny deseń do wywodzenia koronki podaliśmy na rycinie 19 w N-rze 29.

N. 4. Chusteczka ułożona z kwadratowego kawałka.

Kwadratowy 45 cent. liczący kawałek miękkiej adamaszkowej materyi koloru heljotropu, złożony jes: we



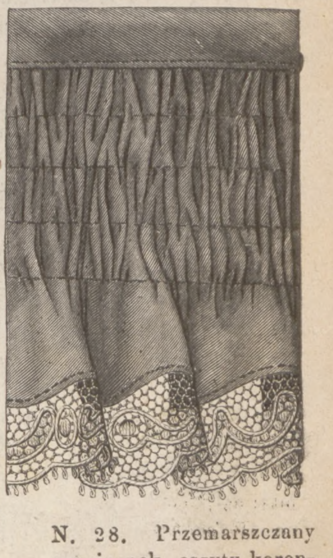
N. 25. Część przykrycia na stół. Haft na bobbinnecie. Próbka deseniu naturalnej wielkości rycina 24.



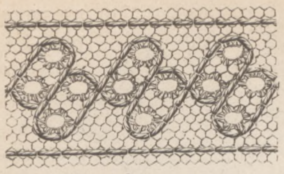
N. 26. Próbka ściegu szydełkowego do sakiewki.



N. 27. Szydełkowy szlak do sakiewki ryc. 27 i 28 w N-rze 30.



N. 28. Przemarszczany garnirunek oszyty koronką do r. 16 w N-rze 30.



N. 29. Wstawka wyszyta na tiulu nićmi cienkiemi i płaskiemi świecącemi.

dwoje, zaokrąglony w rogach idących do tyłu i oszyty z brzegów koronką bretońską lub langwedocką 7 cent. szeroką. Układ chusteczki wskazuje ryc. 4; kokarda spinająca końce ułożona z dwóch pukli po 30 c. szerokich a po 20 długich.

N. 5--6. Poduszka do kanapy. Haft wenecki.

W pierwszym kwartale tegorocznym zapoznaliśmy czytelniczki z rodzajem łatwego lecz bardzo efektownego haftu weneckiego, którego nowy większego rozmiaru wzór podajemy dzisiaj.



N. 31—33. Ubranie dla panienek lat 9—15.

N. 31. Ubranie ozdobione haftowanemi szlakami. N. 32. Ubranie z długim plastronem. N. 33. Sukienka z plastronem formą princesse.



N. : 0. Wstawka wyszyta na tiulu nićmi świecącemi i złotemi.

niu roboty tło po za deseniem wycina się starannie, a haft przytwierdza się niewidocznemi ściegami na aksamicie pokrywającym poduszki. Brzegi poduszki otacza jedwabny sznur koloru vieil-or i takież kwaśc ki na przemian z białemi.

N. 7—10. Kapelusze dla panienek.

Kapotka z żółtej słomki na ryc. 7 ma rondko podszyte czarnym aksamitem a z wierzchu kokardę aksamitną pod którą przechodzi wianeczek z niezapominajek i pączków różanych. Na ryc. 8 widzimy kapelusik z fantazyjnie



N. 34. Parasolik z haftowanym szlakiem. Próbka szlaku na ryc. 7.



N. 35. Parasol kryty koronką.



N. 36. Duży okrągły kapelusz słomkowy. Zobaczyć podszycie ronda na rycinie 37.

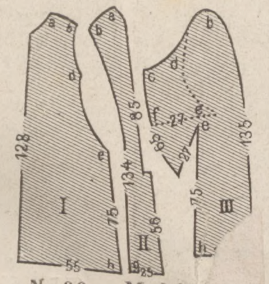
Jest nim deseń na poduszkę do kanapy liczący w kwadrat 54 cent. haft wenecki odrabia się na cienkiem płótnie żółtawego koloru, kontury deseniu otaczając złotem, przez co ślicznie odbijają od ciemnego tła pluszowej lub aksamitnej poduszki. Rycina 6 podaje czwartą część deseniu, lecz bez szlaku brzeżnego z jednego boku, dla braku miejsca; narożnik tego szlaku podany na Fig 63 na arkuszu z krojami do N-ru 31 i 32 Tygodnika. Narysowawszy deseń na płótnie, kontury otacza się grubą nitką złotą, przydzierganą cienką białą nitką, i w równych odstępach zakręconą w pikot jak to ryc. 6 wskazuje. Pikoty te w miejscach gdzie schodzą się z sobą przewleczeniem nitki są połączone. Po skończe-



N. 37. Wewnętrzne podszycie ronda kapelusza ryc. 36.

plecionej słomki ponsowej z piaskową; przybranie z wstążki i rozet „pompon“ tych co słomka kolorów. Kapelusz z florenckiej słomki ryc. 9 ma brzegi objęte bufką atłasową; główkę otacza wianeczek z polnych kwiatków. Rycina 10 przedstawia okrągły kapelusz z włoskiej słomki dla starszej panienki, którego szerokie rondo przysłania zwierzchu pliswanie z mocnego jedwabnego tiulu żółtawego koloru. Takaż riusza otacza główkę i jest przepięta z boku bukietem maku, heljotropu i liści; szerokie końce tiulowe związane pod szyją

d. c. n.

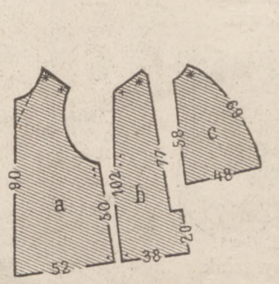


N. 39. Model ... ry kroju do płasz... ci-ny 20



N. 38. Długi płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na ryc. 39. Plecy na rycinie 20.

N. 40. Krótki płaszczyk z pelerynią. Krój na ryc. 41. Plecy na rycinie 21.



N. 41. Model i miary kroju do płaszczyka ryciny 21 i 41.



Pl. 433.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.